Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 14 lipca 1935 r. Nr. 28.



Szczęście pajęcze...

Słońce różami się krzewi
W mych wspomnień wielkim ogrodzie...
Błękitnych marzeń przędziwo
Snuję o słońca zachodzie.

I nad różami rozwieszam
Marzeń przędziwo, jak tęczę...
— Każdy rad szczęście wspomina,
Chociażby — szczęście pajęcze...

Kiedyś, nad główką, pajączek
Snuł szczęścia nitkę cieniutką,
Była zbyt wątła i — prysła —
Pajęcze szczęście trwa krótko!

Dziś znowu nitką srebrzystą
Pajączek duszę omotał
I w sercu mem się ozwała,
Za dawnem szczęściem — tęsknota.

„Jadźka z Kujaw".

MARJA REUTT

Pani Gabrynia

(1)

Zaśmiała się złośliwie całą szerokością ust i posunęła się wgłąb wozu.

A dziś... dziś wobec uprzejmości nowego dyrektora, młody ten chłopiec był znowu sobą, dobrze ułożonym, uprzejmym człowiekiem z towarzystwa.

* * *

Na placu ćwiczą się młodzi robotnicy należący do przysposobienia wojskowego.

Maszerują sprężystym równym krokiem dookoła placu, biegną, przyklękają, przypadają do ziemi, by oderwawszy się od niej lekko i zręcznie okrążać znów plac.

Przeskakują sztuczne przeszkody, prze sadzają zagrody, a wszystko to czynią szybko, zgrabnie, przeginając się i wyprostowując na komendę.

Panie, zbite w gromadkę stanęły z boku i przyglądały się tak częstemu dla siebie widowisku z zawsze niesłabnącą przyjemnością. Obok nich kręciły się dzieci, Tuśka Protopow, Jarek, Adaśko i Jolka.

Pułkownikowej nie było wśród nich, ani pani Gabryni. Obydwie były w mieście. Pułkownikowa u dentysty, pani Gabrynia miała dyżur w sekretarjacie Czerwonego Krzyża.

Pułkownik, który z instruktorem prowadził te ćwiczenia, podszedł do pań przywitać się.

— Tatusiu, — prosił Jarek — puść mnie na plac, ja chcę maszerować z nimi....

— Nie, synku, nie można im przeszkadzać, ale jak skończę, to każę przyprowadzić konia i przewiozę cię nim.

— A ty zuchu, siądziesz na konia, nie będziesz się bał? — zwrócił się do Adaśka, który stanął za Jarkiem.

Chłopiec pokręcił głową.

— Ja tylko z tatusiem nie boję się nicego.

— No, to i ze mną nie potrzebujesz się bać, gdyż mógłbym był być twoim tatusiem.

Chłopca to nie przekonało.

— Ja mam swojego tatusia, nie potsebuję cudzych — odpowiedział dumnie.

— Masz rację — zaśmiał się pułkownik.

Od bramy szła pani Gabrynia. Adaśko i Jolka rzuciły się ku niej.

— Mamusia!

Wszyscy odwrócili głowę w stronę idącej. Panowie zdjęli kapelusze, panie wdzięcznie kiwały jej głową, obserwując jednocześnie ten wyraz pomieszania, który ukazywał się u dyrektora zawsze na widok pani Gozdawiny.

Poczerwieniała pani Gabrynia, odpowiadając na ukłon, ale nie skierowała się ku stojącym. Skręciła do siebie, nie widząc spojrzenia jakim przeprowadził ją pułkownik aż do drzwi.

Panie zamieniły ze sobą porozumiewawcze wejrzenia.

* * *

Listopad był długo nadspodziewanie ciepły i pogodny. Nawet noce nie miały przymrozków, ciepłe były i jasne.

Pułkownik Sznelinski obudził się koło piątej. Ciemność jeszcze panowała na dworze i cisza. Zapalił zapałkę i spojrzał na zegarek. — Za pięć piąta...

Wstał cichutko, ubrał się prędko i wziąwszy buciki w rękę wyszedł na korytarz, by nie budzić żony.

Tu włożył buciki, nałożył kożuszek, bo ranki jednak były już zimne i wyszedł na dwór.

Cicho szczęknął odsuwany ostróżnie zamek, cicho zaskrzypiały podeszwy butów po schodach, cicho zastukały obcasy po asfalcie chodnika.

Rozległa się pobudka. Zagwizdała syrena fabryczna krótko, urywanie, donośnie rozległa się po zabudowaniach fabrycznych.

Zabłysły światła w baraku dla kawalerów-robotników, w blokach familijnych w mieszkaniach majstrów.

Ożył uśpiony, spowity w spokój nocy cały kompleks budynków.

Z baraków, niby wartki potok, przelał się po schodach tupot setek par nóg i rozpłynął się na podwórzu, rozpełzł po budynkach.

Pułkownik chodził od budynku do budynku, nie ominął nawet stajni.

Był przy pojeniu koni, próbował dłonią czy są czyste. Niedarmo był tak długo artylerzystą konnym.

Tu coś zganił, tam kazał poprawić, gdzieindziej zrobił ostrą uwagę dyżurnemu, lub palaczowi.

Już dniało, gdy stanął przed gmachem zarządu.

Zahuczała znów syrena, wzywając do pracy.

Rozległy się liczne kroki po dziedzińcu, zaskrzypiały drzwi w różnych częściach zabudowań, rozległy się głosy przyciszone, jakby bały się zamącić snu tym, którym spać jeszcze wolno było w obrębie fabrycznym.

Pierwszy tramwaj zadzwonił, zahuczał przed bramą i pomknął do przystanku.

Zaskrzypiały wrota, szczęknęła ciężka zasuwa.

To partja robotników mieszkających poza fabryką, szła na robotę.

Woźny sprawdzał przepustki i dopiero każdy z przybyłych mógł wejść na teren fabryczny.

Pułkownik usiadł na ławce.

Było pięć po siódmej. Zapóźno, by się kłaść spać z powrotem, zawcześnie, by budzić żonę.

Posiedzi trochę na powietrzu.

W budynku zarządu na dole mieściły się kawalerskie pokoje gościnne, przeznaczone dla oficerów uzbrojenia, przydzielanych regularnie od sześciu do dziesięciu miesięcy na praktykę, celem zaznajamiania się z procesem pracy w zakładach amunicyjnych.

Było ich tym razem czterech młodych, zdolnych poruczników, przystojnych, zręcznych chłopców, lubiących zabawę i dziewczątka.

Z korytarza wiodącego do ich mieszkań wysunęła się smukła dziewczęca postać w ciemnym paltociku i jasnoniebieskim bereciku. Przemknęła obok niego i pobiegła do tramwaju.

— Aha „narzeczona"! — domyślił się — wraca do domu, by się przebrać i iść do biura.

Tramwaj odjechał.

Znów drzwi skrzypnęły i nowe wysmukłe dziewczę musnęło go paltocikiem w przelocie.

Biegła do przystanku, bo tramwaj dzwonił zdaleka. Jakaś biuralistka, panna sklepowa lub nauczycielka. Może ma narzeczonego funkcjonarjusza policji, subjekta, nauczyciela, kolejarza lub urzędnika, który ją kocha, uważa ją za cnotę chodzącą, a ona go okłamuje, zasłania się chorą przyjaciółką, babką, matką lub ciotką, dyżurem lub nagłą robotą.

I niby ćma nocna biegnie do koszar, zahypnotyzowana mundurem, szykiem i tą aureolą która otacza oficerów na całym świecie.

— Za mundurem panny sznurem... Nie ma pana nad ułana —

— Biedne nocne ćmy, opalą sobie skrzydełka w ogniu nocnej miłości, która, o ile idzie o oficera, rzadko ujrzy światło dzienne.

Westchnął.

— Wszystko na świecie ulega ewolucji, przerabiają mapy, giną kraje i narody, na ich miejsca powstają nowe, przekształcają się ustroje i polityczne i gospodarcze, zmierzenia, przekonania, nastroje, co wczoraj było świętością i cnotą dziś staje się śmieszną parafiańszczyzną, zacofaniem, tylko to jedno zostaje zawsze niezmienne, zawsze to samo, pociąg płci, bo miłością tego nazwać nie można.

Pamięta, gdy jeszcze był porucznikiem armji rosyjskiej w koszarach w Kownie, to również co noc po kilka takich „narzeczonych" pukało do kawalerskich pokoi.

„Czestnyje dawałki" ochrzczono je w gronie oficerów. W tłumaczeniu polskiem nazywałoby się „uczciwe ofiarodawczynie" a oznaczało to dziewczęta czy to chrześcijanki czy żydówki z drobno mieszczańskich rodzin, które olśnione mundurem, uważały sobie za zaszczyt należenie do oficera i za darmo, za drobne, tanie prezenty przybiegały chętnie do koszar na każde zawołanie.

On sam nieraz korzystał z ich usług, odpłacając się potem cukierkami, biletem do kina, buteleczką perfum, lub wody kolońskiej.

Ziewnął szeroko i głośno, przeciągnął się i ruszył do domu. Dochodziła ósma.

* * *

Ciężki miał dzień dyrektor, feralny piątek. Wybuch, na szczęście nieduży i nie niebezpieczny w laboratorjum, wizytacja delegatów z ministerstwa spraw wojskowych, jakieś braki i niedokładności ujawnione w magazynie, śmierć robotnika od poparzenia rozpalonem żelazem.

Jak na jeden dzień, to dosyć kłopotów.

Szedł ociężale do domu i nagle przechodząc obok drzwi mieszkania Olgierda Gozdawy zadzwonił.

Był wzburzony i wyczerpany i tak mu było potrzeba duszy bratniej, któraby go zrozumiała i odczuła.

Otworzył mu Olgierd.

— Prosimy — witał życzliwie — taki miły choć rzadki gość.

Wprowadził go do saloniku, gdzie pani Gabrynia siedząc na podłodze z dziećmi układała im łamigłówki.

Bez cienia zakłopotania witała go życzliwie.

— Ciężki miał pan pułkownik dzień prawda? zagaiła rozmowę.

— Musi pan czuć się bardzo zmęczony i wyczerpany, tyle kłopotów naraz, a szczególniej śmierć tego biednego chłopca — mówiła współczująco.

— Jak ona go rozumiała! Jak wówczas, tam...

— Oleg, pan pułkownik gra w szachy... Podsunęła stolik i pionki, a sama zdaleka przyglądała się rozegrywanej partji.

— — — — — — — —

Zasiedział się. Ze strachem myślał o scenie jaką mu żona urządzi po powrocie, ale na szczęście nie było jej w domu. Poszła z paniami do kina. Zajrzał do dziecka. Spało z rączkami podłożonemi pod buzię. Nachylił się i pocałował jedwabiste włoski syna.

Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Odżyły w nim wspomnienia i raniły serce. Gdyby mógł wyrzucić je z pamięci i z serca!

* *
*

— Prosimy państwa na kolację w sobotę — czytała pani Gabrynia kartkę od pułkownikowej Daszkowskiej.

— To już pułkownika sprawka — pomyślała sobie.

— Jacy dziwni są mężczyźni. Póki nie puszczono plotki o mnie i pułkowniku Sznelińskim, póki tenże pułkownik swem zachowaniem nie potwierdził jej, póty taki pułkownik Daszkowski nie zwrócił na mnie uwagi najmniejszej, a teraz nie daje mi spokoju. Tym owczym pędem chyba tylko tłumaczyć można te szaleństwa, popełniane zbiorowo przez mężczyzn dla sławnych aktorek i tancerek.

* *
*

Pułkownikowa Daszkowska rozpływała się w uprzejmościach w stosunku do pani Gabryni.

Przypomniała sobie nagle, że się znały kiedyś dawniej, że mają tyle wspólnych znajomych i w kraju i zagranicą.

Pułkownik siedział nadęty i milczący, nie wtrącając się prawie do rozmowy.

— Czy to mucha tse... tse... ugryzła pana pułkownika — zażartowała pani Gabrynia, gdy na chwilę zostali sami, bo pułkownikowa zabrała Olgierda w drugi koniec pokoju, by mu pokazać album koni wyścigowych, biegających na torze warszawskim.

— Szaleję — mruknął przez zaciśnięte zęby.

— Zepsute z pana pułkownika i rozpieszczone przez los dziecko szczęścia — sarknęła, naprawdę już znudzona jego uporczywem prześladowaniem jej uczuciem, w które nie wierzyła ani przez chwilę nawet. — Kaprys i nic więcej.

— Może, ale to nie przeszkadza, że cierpię. —



Z zacięcia, z jakiem ten malec kopie piłkę, śmiało wnioskować można, że będzie on kiedyś sławą piłkarską.

— Czasami i pieszczocha trzeba ukarać lub coś mu odmówić dla jego własnego dobra, choć wmawia w siebie, że obejść się bez tego nie może.

— Czy i dla pani dobra również? — ironizował zły, podrażniony.

Porożowiała, ale oczu nie spuściła przed jego natarczywem rozżalonem spojrzeniem.

Ożywił się. — Proszę mi jaśniej to wytłumaczyć.

Obejrzała się za siebie, za gdzie w drugim końcu pokoju pułkownikowa, na pozór spokojna, obojętna, rozmawiała z Olgierdem z uprzejmym, jakby przyrośniętym do warg uśmiechem o Rumunii, którą znała, gdyż w Konstancji spędziła lato z ciotką i kuzynką.

— Widzi pan pułkownik — byłam kopciuszkiem, a pan istny królewicz z bajki zrobił ze mnie królewnę, której wszystkie zdetronizowane królowe kłaniają się i zazdroszczą.

— Tylko, że kopciuszek z bajki zakochał się w królewiczu, a kopciuszek, ten o którym mówię, już na swego królewicza i dla pana może czuć tylko wdzięczność i zwykłą sympatję.

Pobladł. Pierwszy raz spotkał się z moralnym oporem. Pierwszy raz powiedziała mu kobieta, że może go tylko lubieć.

— Pani zamiast krwi ma wodę w żyłach — syknął.

— Dlatego, że nie padłam panu pułkownikowi w objęcia, że nie wyszeptałam drżąca z miłosnego podniecenia: „Bierz mnie, jam twoja.. ironizowała.

— Niech mnie pani nie doprowadza do szaleństwa.

Chciała lekceważąco wzruszyć ramionami, ale się powstrzymała widząc jego bladość i kurczowo ściągnięte usta.

— Wie pan ile mam lat? — spytała go.

Wzruszył ramionami — Co mają lata do tego. —

— Dużo... Jestem od pana starszą o cztery lata. Chyba pan ma już dosyć tych kobiet starszych od siebie.

— Cztery lata... dopiero dużo. Żona moja o lat 10 jest starszą ode mnie.

— Właśnie o to chodzi. Asystując mi naraża się pan pułkownik na śmieszność, przezwiska, amatora starzyzny.

— Czy to samo mówi pani i pułkownikowi Sznelińskiemu? — rzucił przez zaciśnięte zęby.

— Pułkownik Szneliński nigdy w podobny sposób nie odzywał się do mnie... — odpowiedziała tonem wyniosłym.

Pułkownikowa, zaniepokojona tą przyciszoną rozmową, podeszła do nich.

— Mówimy o latach — powiedziała pani Gabrynia, by coś powiedzieć.

— Nieciekawy temat — cierpko zauważyła pułkownikowa.

— — — — — — — —

I znów telefon od pułkownika Daszkowskiego i znów pełne wyrzutów skargi i wymówki i prośba o schadzkę.

— Nie wiem co się ze mną dzieje. Urzekła mnie pani. Myślę o niej ciągle, rady sobie dać nie mogę. —

— Panie pułkowniku radzę skończyć ten beznadziejny flirt ze mną.

— Mąż mój jest bardzo zazdrosny i gdyby się dowiedział o tych telefonach pana pułkownika do mnie, piekłoby mi zrobił z życia.

— Przepraszam cię Olku, ale muszę mu to kłamstwo powiedzieć, żeby się od niego choć twoją zazdrością odgrodzić, — szepnęła do siebie.

Dzwonek. Z przedpokoju doszedł ją głos pani Wisi i Zazy.

— Panie pułkowniku — przerwała mu nową tyradę — w tej minucie przyszły do mnie dwie panie. Są w przedpokoju. Nie chcę by słyszały naszą rozmowę. Do widzenia panu pułkownikowi. —

Te ostatnie wyrazy wymówiła głośniej, by doszły uszu obydwóch pań.

— Jak się cieszę, że panie przyszły. Ten nieznośny pułkownik Daszkowski od samego rana bawi się w telefonie. Chciał żebym pojechała z nim sankami, naturalnie z dziećmi, — dodała z naciskiem — aż do pułku lotniczego.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Ajent policyjny

21)

— Byłby wrogiem moim na całe życie ten, kto ośmieliłby się twierdzić, że ja znałem jakiegoś Lacheneura! Do śmierci nie darowałbym takiemu, tak: do śmierci!

XXVII.

Gdy Lekok wraz z młodą Szupenową znalazł się w poczekalni pana Segmullera, woźny poinformował go, że pan sędzia parokrotnie wyjawił swe najwyższe niezadowolenie z faktu, iż nie stawił się on dość wcześnie na jego rozkazy. Lekok jednak tylko się uśmiechnął po usłyszeniu tych słów. Czyż nie prowadził ze sobą zwycięskiego usprawiedliwienia?...

Chcąc jednak zrobić niespodziankę sędziemu, nie posłał woźnego, jak należało, z zapytaniem, czy mu wejść wolno? — lecz będąc pewnym dobrego przyjęcia bez zameldowania się otworzył drzwi, przepuszczając pierwszą kobietę oczywiście.

Osłupiał, pod wpływem wrażenia, na widok iż sędzia nie jest sam; a osłupienie spotęgowało się jeszcze, gdy stwierdził, iż pan Segmuller ma przed sobą Hipolita Szupe, którego poznał z portretu od pierwszego rzutu oka.

W tej chwili ocenił całą doniosłość błędu, jaki uczynił, lecz było już za późno. Polit nie tylko ujrzał żonę, lecz i ta miała możność usłyszenia słów, Lacheneura dotyczących, a wypowiedzianych specjalnie pod jej adresem. Co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości.

Niemniej cofnął się natychmiast do przedpokoju, pociągając za sobą Annetkę, która się wydzierała do męża. Sędzia, widząc że cię coś złego stało, odesłał Szupena z powrotem do więzienia, nakazując go wyprowadzić tylko drzwiami, wiodącemi wprost na korytarz, a następnie przywołał do siebie Lekoka.

Gdy ajent się znalazł w gabinecie sędziego śledczego, odezwał się zrozpaczonym tonem:

— To była żona Hipolita, panie. Przyprowadziłem ją, bo przyznała mi się, iż znała owego Lacheneura. Nie badałem jej więcej, bo pragnąłem, ażeby pan sędzia sam to uczynił, a teraz przepadło wszystko. Teraz ona, po usłyszeniu groźby męża, już nic nam napewno nie powie. Ach, co za straszne, nie do naprawienia, zdarzyło się nieszczęście!

— Uspokój się — odezwał się pan Segmuller, widząc krańcowe zdenerwowanie ajenta — zło może da się jeszcze naprawić?

— Nie, panie sędzio, nie!.. Nie dowiemy się już nic od tej nieszczęśliwej. Ona kocha swego męża miłością najgłupszą bo bezkrytyczną i bezprzytomną. Jest on dla niej bogiem. Kazał jej milczeć, więc choćbyśmy ją nawet na tortury wzięli, będzie milczała.

Młody policjant miał słuszność. Pan Segmuller bardzo szybko przekonał się o tem.

Młoda kobieta już bez tego konała z boleści i byłaby chętnie oddała życie, ażeby tylko cofnąć słowa, które jej się w domu z ust wymknęły.

To też nie można było nic z niej wydobyć, jak tylko: „nie“, lub „nie wiem“. Więcej nawet, gotowa była przysięgać, iż bynajmniej tego nie mówiła, jakoby miała znać jakiegoś Lacheneura. Ona tego nazwiska nigdy nie słyszała, więc mówić inaczej nie mogła!.. Zrozumiano źle chyba jej słowa.

A gdy jej udowodniono rozbieżność zeznań, wybuchła rozpaczliwem łkaniem i przyciskała dziecko do piersi, krzycząc przeraźliwie.

Wobec takiego rozpaczliwego oporu, cóż było robić?... To też pan Segmuller nie przedłużał zbytnio badania, a tylko po chwili namysłu rzekł do niej łagodnie:

— Możesz odejść, dobra kobieto, pamiętaj jednak, iż milczenie twe więcej przynosi szkody twemu mężowi, niż wszystko to, cokolwiek byś o nim najgorszego powiedzieć mogła.

XXVIII.

Delamorte-Felines jednem słowem określił badanie: „Walka“. Walka straszliwa, zacięta, mordercza, pomiędzy sprawiedliwością, która pragnie poznać prawdę, a zbrodnią, która pragnie w ukryciu pozostać.

Przedstawiciel sprawiedliwości, sędzia śledczy, potężnemi rozporządza środkami. Nikogo niema ponad sobą, a policję, administrację kraju, siłę nawet zbrojną ma na swe rozkazy. Na jego rozkaz cała falanga ajentów jest gotowa przetrząsnąć Paryż, wszystkie drogi, kraj cały, całą nawet Europę, glob cały nawet.

Taka potęga za sprawiedliwością stoi. W jakże odmiennym położeniu znajduje się obwiniony! Przedewszystkiem odosobniają go, od całego żyjącego świata. Najsłabsze echo życia do jego nie dojdzie celi. Co mówią?... co się dzieje?... on nie wie o tem nic. Jacy świadkowie zostali przesłuchani?... co powiedzieli?... tego również nie wie.

Takie jest położenie obwinionego.

A jednak mimo tak ogromnej pozornie różnicy sił — zwycięża nierzadko obwiniony niemniej, choćby był winnym nawet.

Jeżeli jest pewien, że nie pozostawił żadnych śladów za sobą, a także — iż nikt nie wie o jego zbrodni, lub, jeżeli, to tylko tacy, którzy napewno milczeć będą — wystarcza mu przeczyć wszystkiemu tylko, by wyjść niewinnym choćby tylko „z przyczyny braku dowodów winy“.

Takie właśnie było położenie tajemniczego Maja.

Pan Segmuller i Lekok zdawali sobie z tego sprawę, przyznawali to, ze zgrozą i gniewem.

Mieli prawo spodziewać się, iż taki Polit, lub jego żona przyczynią się do uchylenia rąbka tajemnicy, a jednak nadzieja ta zawiodła ich.

Z niebezpieczeństwa tego mniemany cyrkowy „artysta“ najzupełniej obronną wyszedł ręką i jego postać pozostała tak samo tajemniczą, jak była dawniej.

— Jedna rzecz zastanawia mnie najbardziej — mówił w zamyśleniu Lekok — kto zmusza do milczenia tych wszystkich, którzy wiedzą? Wdowę Szupe zniewolił do tego ów tajemniczy wspólnik, gdy w areszcie udawał pijanego... Zgoda na to. Lecz jakim sposobem dotarł on do Hipolita, więźnia, a więc strzeżonego bardzo ściśle, tem samem...

Lekok nie wypowiedział całej swej myśli, okrążył ją, a jednak pan Segmuller drgnął, jak człowiek, którego uderzyła myśl zbyt nieprawdopodobna, czy zbyt zuchwała.

— Cóż ty przez to powiedzieć chciałeś?... — zawołał — Jakto!... czyż byś przypuszczał, że funkcjonarjusze więzienni dali się przekupić?

Lekok wstrząsnął głową, z miną dość dwuznaczną.

— Ja nic nie przypuszczam — powiedział — ja szukam, badam i śledzę jedynie. Nic ponad to. Na nikogo nie rzucam podejrzeń, lecz rozumuję. Czy Szupe był uprzedzony?

— Tak, niewątpliwie.

— Jeżeli tak, to jedno z dwojga: albo go ktoś pouczył, by milczał, w więzieniu samem, albo też w rozmawialni. Trzeciej możliwości niema.

Pan Segmuller zmieszał się widocznie. Miał chwilę wahania, jak ma sobie postąpić, lecz ostatecznie zdecydował się widać, gdyż wstał, wziął laskę i kapelusz, a następnie w te odezwał się słowa:

— Muszę się sam przekonać, jak się te rzeczy miały. Panie Lekok, proszę iść ze mną.

I szybkim krokiem udał się do więzienia, w którem rozdawano obiad właśnie. Na głównym dziedzińcu sędzia ujrzał dyrektora, przechadzającego się w towarzystwie Żewrola.

Pierwszy z nich, gdy ujrzał sędziego, zbliżył się do niego z nadzwyczajnym pośpiechem.

— Zapewne pan sędzia przybywa, mając na uwadze obwinionego Maja?

— Tak jest — odpowiedział sucho pan Segmuller.

Żewrol, gdy tylko usłyszał nazwisko Maja, starał się zbliżyć do rozmawiających, bez większego jednak natręctwa.

— Rozmawialiśmy właśnie o nim z panem inspektorem — zaczął mówić dyrektor, nie zrażony oschłością tonu sędziego — przyczem nadmieniłem właśnie, iż jestem z zachowywania się więźnia tego najzupełniej zadowolony obecnie. Nietylko, że nakładanie kaftana stało się już najzupełniej zbędne, lecz i humor jego zmienił się całkowicie. Zjada wszystko co mu dadzą, jest wesoły jak szczygieł, a nawet pozwala sobie na żarciki z dozorcami.

— Ba — wyjaśnił sprawę Żewrol — gdy go schwytano, był tem oszołomiony na razie, gdy się jednak przekonał, że jego sprawa nie stoi tak bardzo źle i że mu galery conajwyżej, z których uciec zawsze można — powesełał odrazu.

Sędzia i Lekok spojrzeli na siebie niespokojnie. Ta nagła wesołość rzekome-

go cyrkowca mogła wynikać z powziętej roli, lecz mogła być również następstwem jakichś dobrych wieści z zewnątrz otrzymanych...

Przypuszczenie to do tego stopnia żywo dotknęło p. Segmullera, że aż zadrżał cały.

Czy jesteś pewien, panie dyrektorze — zapytał — że porozumiewanie się dla twych więźniów ze światem zewnętrznym jest bezwzględnie wykluczone?

To wyrażone powątpiewanie zdawało się naprawdę obrażać zacnego urzędnika.

— Czy jestem tego pewien? — zawołał. — Ależ pan sędzia nie widział cel, w których siedzą więźniowie, skazani na odosobnienie. Od świata dzielą ich nietylko kraty ale nawet i daszki, zabierające im światło. Jeżeli zaś tego wszystkiego zdawałoby się komuś nie dość jeszcze, no to przecież mamy strażników, którzy dzień i noc pilnują pod oknami z bronią do strzału zawsze gotową. Nie, panie sędzio, do moich więźniów celkowych nawet jaskółka się nie dostanie.

— Uspokoiłeś mnie pan, co do tego punktu w zupełności — rzekł sędzia istotnie może uspokojony. — A teraz, panie dyrektorze, chciałbym otrzymać nieco wiadomości, dotyczących innego więźnia, nazwiskiem Szupe; chciałbym wiedzieć mianowicie czy go kto odwiedzał wczoraj?

— Hm... musielibyśmy się udać w takim razie do kancelarji, by fakt ten sprawdzić z całą dokładnością. Chociaż nie, bo właśnie zbliża się do nas dozorca, który wpuszcza gości, mających pozwolenie na odwiedzanie więźniów. Hej, tam!... Edward!... przyjdź no tutaj!

Zawołany przybiegł natychmiast.

— Powiedz mi — rzekł do niego dyrektor — czy obwiniony Szupe był wczoraj w rozmawialni?

— Był, panie dyrektorze.

Pan Segmuller uśmiechnął się z zadowoleniem. Jego przypuszczenia okazały się trafne.

— Kto go odwiedzał — zapytał żywo Lekok — był to mężczyzna wysoki, gruby, czerwony na twarzy i ze zgarbionym nosem? Nieprawdaż?

— Przepraszam pana, lecz była to kobieta; jego ciotka, jak mówił.

Okrzyk zdziwienia wydarł się jednocześnie z ust sędziego i Lekoka.

— Jak wyglądała ona? — zapytał sędzia.

— Jasna blondynka, drobna i pulchna. Wyglądała na bardzo uczciwą kobietę.

— Byłażby to jedna z naszych uciekinierek z „Pieprzniczki"? — zrobił głośną uwagę Lekok.

Żewrol wybuchnął grubym śmiechem.

— Znów jakaś księżniczka z Madagaskaru?!... — zapytał.

Pan Segmuller nie zasmakował jednak w tym żarcie.

— Zapominasz się pan, panie inspektorze — rzekł wyniośle. — Zapominasz iż przycinki, którymi godzisz w swego kolegę, dosięgają i mnie również.

Jenerał spostrzegł, iż posunął się zadaleko, zaczął więc przepraszać.

Ale sędzia zignorował te jego przeprosimy, udając że ich nie słyszy. Zaczął



Piękne są tańce węgierskie. Na zdjęciu widzimy uroczą parę tancerzy, w barwnych, węgierskich strojach narodowych, w prześlicznej figurze tanecznej.

się żegnać z dyrektorem, a następnie zwrócił się do Lekoka ze słowy:

— Pobiegnij, chłopcze, do Prefektury i dowiedz mi się tam, na jakiej zasadzie kobieta ta otrzymała pozwolenie na widzenie się z obwinionym Hipolitem Szupe.

XXI X.

Pan Segmuller wracał do swego biura do tego stopnia zamyślony, że nie oddawał licznych ukłonów, jakie mu ze wszech stron oddawano, do tego stopnia wszystkie władze jego umysłu pochłonęła sprawa.

Po głębszej rozwadze postanowił zbadać wszystkie osoby, które choćby w najdalszym stopniu były do sprawy zamieszane, a więc: doróżkarza, odźwierne domu przy ulicy Bourgogne, właścicielkę hotelu Marienburskiego, jak również właścicielkę zakładu, w którym się odbywały owe słynne bale „Pod tęczą".

Było rzeczą wątpliwą, by wszyscy ci ludzie udzielić mogli sprawiedliwości konkretnych danych, mogli jednak udzielić przypadkowo nader cennych wskazówek dotyczących tak mordercy jak i jego ofiar.

Gdy właśnie był zajęty dyktowaniem kanceliście nazwisk wszystkich tych osób, ażeby przed nim stanęli, ukazał się Lekok. Nie było potrzeby pytać go nawet, jak mu poszło, ponieważ zniechęcenie malujące się na jego twarzy mówiło aż nazbyt wyraźnie, iż jego zabiegi nie dały pożądanego wyniku.

— Nic — powiedział wreszcie — zawsze i wszędzie: nic i nic!

— Jakto? — ze zdziwieniem zapytał sędzia — czyżby w Prefekturze nie mieli zanotowane, komu wydali kartę?

— Owszem, panie sędzio. Kartę, która wczoraj zużytkowaną została, wydano siostrze starej Szupenowej, niejakiej Rosa'ie Pitard, sklepikarce z Montmartru. Jako powód podano, iż musi się ona widzieć z siostrzeńcem w interesie familijnym.

— Cóż u djabła — zawołał sędzia — czyżby i owa przekupkę do spisku wciągnięto?

— Wątpię — odpowiedział Lekok — lecz tutaj właśnie mamy jeszcze jeden dowód więcej piekielnej zręczności wspólnika, w wykorzystaniu wszystkich okoliczności. W każdym razie nie owa ciotka odwiedziła wczoraj Szupena, jak się bowiem dowiedziałem, jest to kobieta wzrostu grenadjera, bardzo tęga i silna brunetka, mająca przytem około sześćdziesięciu lat. No, a ta wczorajsza miała lat około trzydziestu i była drobną, pulchną blondynką.

— Lecz jakim sposobem ów wspólnik tajemniczy mógł się dowiedzieć o istnieniu karty owej? — zrobił uwagę sędzia.

— Oh!... nic łatwiejszego — odpowiedział Lekok — poprostu wspólnik, w czasie rozmowy z wdową Szupe w komisarjacie, gdy to udawał pijanego, doszedł do przekonania, iż rzeczą nieodzowną jest uprzedzenie Hipolita, by milczał. Wtedy starej szynkarce przypomniała się owa karta, wzięta coś przed tygodniem... Iść do owej Pitardowej i wziąć od niej kartę, było już dla wspólnika drobnostką.

Sędzia słuchał tych wywodów, którym nie miał nic do zarzucenia, w głębokiem zadumaniu. Podziwiał przedsiębiorczość, odwagę i śmiałość tych ludzi, którzy ważyli się na wszystko, byle tylko ukryć tożsamość osoby mordercy.

— Tego wspólnika pochwycić musimy — powiedział wreszcie.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

MIŁOŚĆ...

Chciałabym ci powiedzieć, chciałabym napisać,
Że jesteś mi już droższy, niż ktokolwiek w świecie —
...I coraz więcej piękna widzę w każdym kwiecie.
Coraz bardziej upaja mnie wieczorów cisza...

Bo miłość uwrażliwia przedziwnie na piękno,
I uczy pełniejszego zrozumienia życia —
Patrzysz na wszystko w szczęsnym, zdumionym zachwycie,
I jakże często myśli twe przed Stwórcą klękną...

Danuta Wyrybkowska.

CZY SPRAWIŁY ZADOWOLENIE?

„Samarytanka." Wierszyk — śliczny! Dziękuję! Listy po otrzymaniu adresu wysłałam natychmiast. Czy sprawiły dużo zadowolenia i czy korespondencja daje satysfakcję?

Żegnam i czekam na nowy list od przemiłej „Samarytanki". Wujek Janusz dziękuje za pamięć i odwzajemnia uścisk dłoni.

„PROSIMY O PAMIĘĆ"

„Iskierka" i „Mira" piszą: „Jesteśmy młodemi, wykształconemi i samotnemi. Na wsi, gdzie mieszkamy, brak nam odpowiedniego towarzystwa. Całem naszem zajęciem to kąpiel, muzyka, wycieczki rowerami, a nawet motocyklem. Prosimy o pamięć! Jeżeli ktoś lubi dużo pisać, niech skreśli kilka słów do „Iskierki" i „Miry"."

Zgodnie z życzeniem Pań zamieściłam apel, również wysłałam załączone listy. Życzę Paniom powodzenia w nawiązaniu korespondencji, przesyłam dużo pozdrowień i proszę do mnie pisać jak najczęściej.

NIE PYTAJ

Straszna wichura za oknem dmie,
A głucha rozpacz serce na strzępy rwie,
Nie pytaj nie, nie pytaj nie —
Kiedy w sercu jest tak źle.

Szalonym pędem błyskawica mknie,
A wiatr szalony wierzchołki drzew gnie,
Nie pytaj nie, nie pytaj nie —
Kiedy w sercu jest tak źle.

Wicher szaleje i burza szaleje,
W szalonym uścisku zmagają się,
Nie pytaj nie, nie pytaj nie —
Kiedy w sercu jest tak bardzo źle.

„Iste Wenus."

TRZEBA SOBIE RADZIĆ...

„Dzika Orchidea." Liścik Pani przeczytałam uważnie. Wiadomości zawarte w nim smutne, ale życiowe. Na każdym nieomal kroku spotyka się podobne historje.

Trzeba jednak sobie w każdem trudnem położeniu radzić, zrobiła więc Pani jak najlepiej, pomyślawszy o poszukaniu posady. Przy wykształceniu Pani i różnych dodatnich zaletach, mam wrażenie, nie będzie o to bardzo trudno. Ogłoszenia, dla poszukujących pracy, dajemy już od 50 gr wzwyż. Radzę Pani zamieścić anons i w „Mojej Przyjaciółce" i w „Moich Powieściach." Skutek będzie pewniejszy i lepszy.

Cieszę się już naprzód na zapowiedziany wesełszy list i oddaję kilka słów Pani do druku: „Przesyłam „Rotmistrzowi" wyrazy uznania za wesoły pogląd na życie i zapytuję, czy nie zechciałby skreślić kilka słów do „Dzikiej Orchidei" — odpowiedź murowana! Serdeczne współczucie dla „Architekta z pod Wagram" i pozdrowienia dla wszystkich Czytelniczek i Czytelników. Cieszyłabym się, gdyby ktoś zechciał ze mną korespondować. Chodzi mi o wymianę myśli i wrażeń, których mam całą moc z podróży po Belgji i Niemczech."

Powieść „Wśród Warjatów" rozpoczęła się z dniem 1 września 1934 r. Numery zaległe otrzyma Pani w naszej administracji. Cena pojedyńczego numeru 30 gr.

PROSZĘ ŚMIAŁO PISAĆ

„Niebieska sukienka." Nareszcie przyszła kolej i na Pani liścik. Przeczytałam go uważnie. Wzruszyły mnie słowa uznania i to głębokie przywiązanie Pani do „Moich Powieści". Dowiedziałam się również, że chciałaby Pani dzielić się ze mną swojemi smutnemi i radosnemi wrażeniami, tylko obawia się, że będę zmęczoną czytaniem. Skądże! Przeciwnie, czytając takie miłe i szczere listy, jak Pani, czuję się zadowoloną i szczęśliwą, a wszelka myśl o zmęczeniu jest daleka. Myślę więc, że niepotrzebne skrupuły odrzuci Pani i będzie zawsze do mnie pisała śmiało?

List wysłałam. Czy otrzymała Pani odpowiedź? I czy przyniosła zadowolenie? Proszę mi coś o tem napisać, dobrze?

Sprawa przesyłania „Moich Powieści" — załatwiona!

KIEDY?

„Dzika Cyganka." Za miły i nastrojowy opis przechadzek po lesie i polu — ślicznie dziękuję. Czytając go mimowoli zapragnęłam i ja gorąco znaleźć się na wsi, wśród szerokich pól i lasu, powstała we mnie ochota błądzić tak jak Wy, Drogie Dziewczynki, wśród tych długich szpalerów białych brzóz, zadumanych świerków i jałowcy. Niestety! Różne sprawy zatrzymują mnie w murach miasta i nie pozwalają narazie myśleć o wyjeździe.

Widzę jednak, że rozpisałam się na temat zbyt osobisty, wracam więc do formy i serdecznie dziękuję Ci, „Dzika Cyganko", za przesłane pozdrowienia, również „Amazonce" i „Smutnej Indjance." Kiedy się znowu do mnie odezwiecie? Chyba już wkrótce?

WYSTARCZY

„Miłka z Jeżowa." Poco będziemy mówiły o konwenansach, kiedy lubimy się i czujemy nawzajem do siebie dużo sympatji. Niech nam to wystarczy!

Fotografja sprawiła mi wielką radość. Dziękuję! Przemiłą „buzię" Pani odłożyłam do albumu, który darzę szczególną predylekcją, a w którym są umieszczone fotografje moich Sympatyków.

W sprawie wznowienia korespondencji z P. B. L., myślę, że najlepiej będzie, gdy Pani się zwróci bezpośrednio z wytłumaczeniem, dlaczego Pani nie odpowiedziała na list.

A teraz przesyłam Pani siostrzane uściski i spodziewam się, rychłego otrzymania liściku z Jeżowa.

LISTU NIE OTRZYMAŁAM

„Zefi." Ucieszyłam się ogromnie liścikiem od mej starej Sympatyczki, a zrobiło mi się przykro, gdy wyczytałam, że pisała Pani do mnie kiedyś i nie otrzymała odpowiedzi. To niemożliwe! Żadnego listu nie pomijam milczeniem, a co dopiero mówić o liście Pani, dla której oddawna żywię dużo sympatji i współczucia. Poprostu listu nie otrzymałam do rąk i dlatego, siłą faktu, nie mogłam dać odpowiedzi. Myślę, że po mojem wytłumaczeniu, nie będzie już Pani miała do mnie żalu?

A teraz dziękuję Pani jak najserdeczniej za podzielenie się ze mną garścią wrażeń, zdobytych w okresie wędrówek po Polsce. Szczególnie zaabsorbowały mnie wiadomości z Lubelszczyzny. O „smutnych objawach" chętnie podyskutowałabym z Panią, ale nie na łamach „Krainy", gdyż zbyt dużo byłoby do powiedzenia, a miejsca w „Krainie" mało. Pocieszę tylko tem Panią, że obok szerzącego się zła, rozwija się także pomyślnie niezliczona ilość świeckich i kościelnych towarzystw, których zadaniem jest szerzenie wzniosłych idei. Czy Pani w swych wędrówkach miała możność spotkać się z takiemi właśnie organizacjami, podziwiać owoce ich pracy i spostrzec wpływ, jaki wywierają na otoczenie? Proszę, niech mi Pani coś o tem napisze, abym nie miała zbyt ujemnego wyobrażenia o opisanych mi dzielnicach Polski.

List wysłałam. Załączone przez Panią pozdrowienia dla „Kaliny", „Wikinga", „Architekta z pod Wagram", Sympatyczek i Sympatyków „Krainy" — przekazuję.

Pani ślę moc uścisków i zapewnienia szczerej przyjaźni.

W WOLNEJ CHWILI

„Dyza." Wierszyk nadesłany posiada dużo niedociągnięć, ale po poprawieniu tychże, dałoby się go umieścić, gdybym go otrzymała wcześniej.

W sprawie nawiązania korespondencji, radzę Panu napisać pierwszemu do kogoś liścik, wybór w „Krainie" tak duży, a więc i nie trudny. Pośrednictwem służę jak najchętniej.

Jeżeli będzie miał Pan kiedyś znowu wolną chwilę, proszę do mnie śmiało napisać, gdyż każdy list od Sympatyka „Krainy" sprawia mi zadowolenie. A może i wierszyk jakiś dołączy Pan?

NAPISZCIE...

„Rok 1935." Zapewnie nie wiecie, Drodzy Sympatycy, że Waszej milutkiej „siostrzyczce" z „Krainy Szczerości" jest bardzo przykro... bo pomimo szczerych chęci nie udało Jej się nawiązać z nikim korespondencji. Nie zwlekajcie więc długo i napiszcie do Niej serdeczny i miły liścik, aby Jej bardzo nie bolało serduszko i nie czuła się pominiętą.

Tobie zaś, Kochana Sympatyczko, przesyłam szczere pozdrowienia i życzę otrzymania jak największej ilości liścików.

Osoba, wymieniona w liście, nie zamieszkuje w Nowem.

WIERSZYKI

„Iste Wenus." Wiersze Pani posiadają dużo uczucia, jednakże forma ich pozostawia jeszcze dużo do życzenia. Jeżeli jednak Pani nad sobą popracuje, może kiedyś pisać śliczne wierszyki. Z ostatnio przesłanych do druku pójdą: „Dumka" i „Nie pytaj."

Proszę, niech Pani utwory pisze zawsze po jednej stronie papieru i przesyła do oceny Wujkowi Januszowi.

Za „maleńki kwiatek z ogródka" — ślicznie dziękuję. Przesyłam dużo pozdrowień i uścisków.

KORESPONDENCJA

„S k o c z y b r ó z d a" pragnie urozmaicić sobie jednostajne życie na wsi i w tym celu apeluje do sympatycznych Czytelniczek „Moich Powieści", aby zechciały do Niego skreślić kilka słów.

Życzeniu Pana stało się zadość. A teraz kilka słów w sprawie spóźnionych ostatnich numerów „Moich Powieści": z powodu remontu maszyn wszystkie nasze wydawnictwa nie wyszły w przepisanym terminie, odtąd jednak będą dostarczane już regularnie.

Przesyłam miłe pozdrowienia i proszę Pana o nadesłanie dokładnego adresu.

NA KAŻDY LIST ODPOWIADAM

„B l o n d y n e k w m u n d u r z e". Jeżeli ktoś nie otrzymał w „Krainie" odpowiedzi, to znak, że listu nie odebrałam, gdyż nigdy nie zdarza mi się, abym na listy moich Sympatyków odpowiadała milczeniem. Jeżeli zaś chodzi o list Pana, to przypominam sobie dokładnie, że dawałam już Panu odpowiedź w nr. 24. Proszę, niech Pan uważnie przejrzy „Krainę", a przekona się, że tak jest. Załączone listy skierowałam pod odpowiednie adresy. Nie rozumiem, dlaczego Pan nie otrzymał na nie żadnej wiadomości, zapewnie jeszcze nadejdą.

Pozdrowienia, załączone przez Pana dla: „Sztubaczki", „Milutkiej Janeczki" „Głosu z nad morza", „Pilotska" i „Takiego małego Coś z loczkami" — przekazuję.

Łączę dużo serdeczności i żywię nadzieję, że uzyskałam pełną rehabilitację w oczach Pana?

ZAKWITŁY LIPY...

Zakwitły lipy już ponad drogą
Woń ich przecudna, jak z trybularzy
Płynie w dal... od lip, co lata mnogie
U dróg wioskowych stoją na straży.

Zakwitły lipy przydrożne, stare —
W konarach ich pszczelny rój zagościł,
I pracowicie miód z słodkiej czary
Kwiatów lipowych, do uli znosi.

„Kalina.“

WSZYSTKO BĘDZIE DOBRZE

„Ada z Jeżowa“. Bardzo mnie zmartwiła wiadomość o Twojej długiej chorobie; zapewnie bardzo cierpiałaś? Jesteś jednak już zdrowa — to najważniejsze. Teraz chodzi tylko o to, aby Cię wyleczyć ze smutku. Widzę, że posiadasz mocno egzaltowaną główkę i dlatego wydaje Ci się, że już nigdy nie spotka Cię w życiu szczęście. To nieprawda! Od Ciebie tylko zależy, aby być szczęśliwą. Porównanie z ptakiem bardzo piękne, jednak zastosowania z Tobą mieć nie może. Czy nie sprawi Ci żadnego zadowolenia możność dania komuś szczęścia? Czy małżeństwo z człowiekiem dobrym, i cieszącym się szacunkiem, nie posiada w sobie ani trochę uroku?... Proszę, porzuć chimery, staraj się stłumić tęsknotę za rzeczami nierealnemi, zdobądź się na silną wolę i śmiało spojrzyj w życie, tak, jak tego wymaga obecny trudny czas. Bądź dzielną kobietą i nie lękaj się życia. Nie będzie ono dla Ciebie tak straszne, jak Ci się wydaje.

Na zakończenie odpowiedzi przesyłam w Twojem imieniu pozdrowienia „Smutnym Oczom“, „Bławatkowi“, „Veldze“ i: ...nie smuć się, Droga Ado — wszystko będzie dobrze! Oto moja rada!

DZIĘKUJĘ!

P. Roman N. Dziękuję bardzo za przesłaną mi z Inowrocławia pocztówkę. Mam nadzieję, że otrzymam wkrótce od Pana dłuższy liścik?

Przesyłam w imieniu Pana pozdrowienia dla: „Polnego Dzwoneczka“ i zapytuję czy p. Maryla Wawrzyńczakówna nie zechciałaby nawiązać z Panem korespondencji.

NAPISZCIE I POCIESZCIE

„Głos z puszczy“. List wysłałam. Prośbę o przyjęcie do „Krainy“ i przedstawienie Pana Sympatykom, spełniam. A więc „Głos z puszczy“, nowy członek naszej licznej „Rodziny“, to wysoki blondyn, który pragnąłby znaleźć bratnią duszę, któraby rozweseliła jego smutne sieroce życie.

Myślę, że niejedna rączka zabierze się do skreślenia paru serdecznych słów, do człowieka, któremu smutno na świecie i którego od najmłodszych lat prześladuje okrutny los. Przynieść przecież komuś, choć odrobinę pociechy, czyż to nie duże zadowolenie?

WYSŁAŁAM

„Gladjola“. List wysłałam. Za przesłane pozdrowienia dziękuję serdecznie w imieniu redakcji i „Sympatyków“ „Krainy“.

Czy „Moje Powieści“, pominąwszy numery, które wyszły później z powodu remontu maszyn, przychodzą nadal nieregularnie? Proszę, niech mi Pani o tem doniesie, dobrze?

NAWIĄZANIE KONTAKTU

„Wesoła Dziunia“ zwierza się w swym miłym liściku:

„Nie lubię ludzi smutnych tylko wesołych. Mieszkam w miejscowości położonej wśród lasów.

W jednym z numerów „Moich Powieści“ zjawiła się jedna „siostrzyczka“ leśniczanka, ukrywająca się pod pseudonimem: „Samotnej Gwiazdeczki“. Z jakąż radością rozproszyłabym samotność „Smutnej Gwiazdeczki“ — a może już mnie kto wyprzedził?“

Myślę, że „Samotna Gwiazdeczka“ na ten sympatyczny odzew swej „siostrzyczki“ odpowie zachęcającym liścikiem i nawiąże z Nią bliższy kontakt?

Na zakończenie ściskam serdecznie „Wesołą Dziunię“ i pozdrawiam w Jej imieniu „Samotną Gwiazdeczkę“ i „Smutnego Flora“.

WIECZÓR

Zapadł upojny, cichy, senny wieczór,
Rozwarł nad wioską swoje ramiona,
W oddali ptasząt, już leśnych nuci chór,
Z dzwonem kościelnym, co echem gdzieś kona.

Wieczór ziemię w swe wtulił ramiona
I błogosławi swym wzrokiem miłośnie,
Szept jego kołysze odgłos dzwonu,
Którego dźwięki płyną wyniośle.

Płyną akordy w dal cichą i senną,
Z modlitwą na ustach ludzi, błagalną,
Płyną w noc cichą, jasną, promienną —
„Chroń Ty nas Boże, przed mocą nawalną.“

Czarnylas. *Kazimierz Ruliński.*

MIŁOŚĆ

Omota każde serce pajęczyn „niciami“,
przywyka, żywa, pozstaje z nami,
poplącze gęstą serca siecią,
rozkaże bawić się, jak dzieciom
Miłość.

Kapryśna czasem, jako dni wiosenki
duszom tajemne śpiewa piosenki,
że będzie zawsze świeża i dziecinna,
jak łezka dziecka czysta i niewinna
Miłość.

Przekorna czasem o serce obawiać się
każe,
na pokusę we śnie inne rzuca twarze,
podaje tkliwe usta i oczy nęcące,
w uśmiechy strojną, marzenia kuszące
Miłość.

Tryumfująca zawsze, spokojna i śmiała,
choć dusza na nią będzie się gniewała,
bo serce ludzkie znów prędko poprosi
bo wszakże marzenia, ułudy przynosi
Miłość.

Helena Marja Kraśna.
Gniezno, w lipcu 1935 r.

NIE PŁACZ...

Drogiemu „Paziowi“ — poświęcam.

Nie płacz, Drogi „Paziu“, choć ból Tobą miota
I choć rozpaczą duszyczka Twa drży,
Nie płacz, choć ciężka cię pali tęsknota
I chociaż w goryczy trza ci spędzać dni.

Nie płacz, ach! nie płacz, biedna istotko,
Choć nieraz serduszko twoje się żali,
Nie płacz, chociaż samotną jesteś sierotką,
I choć ci smutno jest samej w oddali.

Nie płacz — lecz znoś w cichości cierpienia twoje,
I Bogu ofiaruj każde szlochanie,
A minie ból, rozpacz i wszystkie znoje,
I wrócą do ciebie dni szczęściem owiane.

Grudziądz. *Michał Choszcz.*

APEL!

„Kajtuś“ pisze: „Posłuchajcie Drodzy Przyjaciele! Osóbka, której czasami smutno na świecie, a lubiąca wszystko co dobre i nienawidząca złego, pragnęłaby sobie i „komuś“ uprzyjemnić czas korespondencją. Proszę niech „płeć brzydka“ pierwsza się odezwie! Oprócz tego polecam się pamięci wszystkich Sympatyków, a szczególnie tych, którzy zamieszkują ziemię kaszubską — ja z niej!“

Teczka Wujka Janusza

GRAFOMAŃSTWO

„Jurand.“ Jeżeli się ktoś obraża słuszną i rzeczową krytyką, nie powinien wogóle tworzyć. Chcąc być poetą, trzeba mieć talent, który należy samemu udoskonalać, dalej trzeba być przygotowanym na niepowodzenia i krytykę. Kto się obraża o krytykę sprawiedliwą — ośmiesza się i lepiej, żeby taki przestał raz na zawsze pisać wiersze. To nie przyda się na nic!

Powyższe słowa, myślę, że przeczyta Pan uważnie, zrozumie je i nie będzie miał żalu do redakcji, która wiersze Pana odesłała do kosza. Jeżelibym otrzymał słabe utwory, postąpiłbym tak samo. W tym wypadku nie może być żadnych względów lub sympatji, bo grafomaństwo to szkodliwa i niebezpieczna rzecz, która paczy prawdziwe piękno poezji.

Dziękuję bardzo za serdeczne słowa i czekam na zapowiedzianą w liście przesyłkę.

ŻAŁUJĘ!

P. Michał Ch. List z adresem, otrzymałem. Dziękuję! Bardzo żałuję, że nie wstąpił Pan do Żnina, przejeżdżając niedaleko. Zapewnie druga okazja nie znajdzie się tak prędko.

Wiersze dobre, odłożone do teczki, będą wkrótce wydrukowane. Czy znowu Pan coś nowego napisał? Jeżeli tak — czekam!

Za serdeczne słowa dziękuję, również w imieniu Pani Zofji. Łączę pozdrowienia i odwzajemniam przyjacielski uścisk dłoni.

WIERSZE — SŁABE

„Bronka.“ Utwory Pani są wszystkie słabe, oprócz „W smutku“, który dzisiaj oddaję do druku. Dość miły jest również wierszyk „Może zapomnisz...“ poświęcony p. Lubomile B. i „Echo“, zadedykowany Sympatyczce „Krainy“ „Echu.“ Może Pani je poprawi, napisze prościej, zrozumialej, bez takich zwrotów jak n. p. „może zapomnisz o cierpień dobie smutku, goryczy czarnej glebie.“ Takie wypowiadanie myśli jest absurdalne. Nie trzeba nigdy się silić na górnolotność, lecz pisać prosto, gdyż prostota w poezji przemawia najwięcej do duszy.

Za pozdrowienia — dziękuję i ściskam serdecznie rączkę „małej poetce.“

W SMUTKU

W chwilach, gdy cięży mi srogi krzyż,
Spoglądam ku Tobie Panie wzwyż,
I cicho szepcę w wielkiej pokorze:
Smutno mi Boże!
Daj mi hart duszy i silną wolę,
Bym śmiało przeszła życia zaporę,
I przepłynęła to cierpień morze —
Dobry mój Boże!

„Bronka.“

Raj kobiet

Dla młodych panienek



J 68010 Piękna, kasakowa sukienka z jedwabnej krepy. Przy czworokątnym dekolcie, falbanka z organdyny.

J 68011 Sukienka popołudniowa dla młodej panienki z jasnej tafty. Pasek z klamrą, bufiaste rękawki i oryginalne wykończenie szyi, uzupełniają tę śliczną sukienkę.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w administracji za poprzedniem nadesłaniem 1,90 zł przez P.K.O. 207.393.

Liryzm ogłoszeń matrymonjalnych

Ogłoszenia matrymonjalne w dziennikach amerykańskich i europejskich tchną prozą życia. Zupełnie inaczej zapatruje się na te rzeczy Daleki Wschód. W Japonji tego rodzaju ogłoszenia zredagowane są poetycznie. Autorzy i autorki ogłoszeń nie szczędzą przenośni, metafor, porównań co najpiękniejszych. „Jestem piękną kobietą", — pisze Japonka — „spływające falisto włosy otulają mnie niby obłokiem. Postać moja jest gibka jak brzoza, gnąca się pod naporem wiatru. Twarz moja, delikatna i aksamitna jak płatki kwiatu, odbija oddanie i szczerość mojej duszy. Majątek, który posiadam, wystarczy, aby senne marzenia miłosne stały się ciałem, abym podążyła szczęśliwa i radosna za moim panem. Dostąpię później szczęścia, aby móc spocząć z nim razem w grobowcu z różowego marmuru". To nie to. co ogłoszenie w dzienniku europejskim: „Mam lat 30, zapewniony byt, mieszkanie trzypokojowe. Oferty tylko solidne". Albo takie. „Kawaler, lat 30, małego wzrostu, z majątkiem 5.000 zł. wżeni się w interes, dom lub gospodarstwo od 30—70 mórg, najchętniej w mieście. Zgłoszenia do ekspedycji pisma pod 5.000 nr. 709".

ZAWALIDROGA MA GŁOS

Miałem w zeszłem tygodniu proszę ja kogo nieprzyjemny wypadek. Jechałem tramwajem a ponieważ że znajdowałem się pod lekkiem gazikiem zleciałem na nos i pogotowie zabrało mnie do szpitala. Nic wielkiego się nie stało, po trzech dniach mnie wypisali. Idę do domu, ale wstąpiłem na jednego „Pod minogie" żeby sił nabrać po chorobie. Wypiłem, zakąsiłem i myślę sobie — trzeba niespodziankę żonie zrobić i po cichutku wleźć do mieszkania.

Tak się tyż stało. Zdjęłem kamasze w sieni, podchodzę do drzwi i słyszę, że jakiś gruby głos rozmawia z moją żoną.

— Czy mam przyjemność z żoną trupa?

— Jakiego znowuż trupa, co pan szanowny wymyśla? — odpowiada żona.

— Ostatecznie czy pani nieboszczykowa Zawalidrogowa, czy nie?

— Zawalidrogowa faktycznie się nazywam, ale nie nieboszczykowa.

— Ale załóżmy się. Czy to szanowny mężulek leżał u Świętego Ducha na trzeciej sali przy oknie?

— Taki łysy blondyn?

— Właśnie. Z czerwonem nosem od zakąsek.

— Z czerwonem.

— I z tramwaju na zbitą twarz w pijanem stanie wyleciał?

— On, on, wipisz, wymaluj.

— Ano widzi pani szanowna, że nie trzeba się z żałobnym fachowcem sprzeczać. Jak mówiłem, że nieboszczykowa, to nieboszczykowa. Mężulek dzisiaj w nocy do grabarni się przeniósł, a na jego łóżku już nowy chory się położył.

— O nieszczęśliwa moja godzina — krzyczy na to żona. — Wdowom żałobnom się zostałam na same lato. I to teraz, kiedy zielonego materjału w czerwone kwiaty sobie na suknie nabrałam.

— Wszystko na nic, trzeba będzie czarny kupować, a ten w kufrze trzymać!

Taki ładny towar mole dranie gryźć będą cały rok. Oj dola moja, dolo nieszczęśliwa.

— Rozumie dobrze pani rozpacz małżeńskie, ale kufer można będzie naftaliną wysypać to mole zdechną.

— Ach nigdy w świecie. Naftalina pierwsze świństwo. Chyba bagiennem liściem aksamit przełożyć, ale znowuż prześmierdnie. Życie sobie chyba odbiere, co ten chłop mnie kłopotu narobił. Zawsze był taki poprzeczniak. Jak ja w lewo to on w prawo. Tak i z tem pogrzebem nie mógł się zatrzymać do zimy. Zabije się chyba ze zmartwienia i z tem mojem ukochanem mężem do grobu położę.

Z początku śmiać mnie się z tego chciało za drzwiamy jak djabli. Ale kiedy usłyszałem, że żona zaczyna się o tromnę dla mnie targować i zamiast dębowej, która jak wiadomo jest zdrowsza i więcej twarzowa, sosnową zamawia a takżesamo karaban gładki bez okucia, nie wytrzymałem. Jak nie wskoczę do mieszkania, jak nie zacznę kołować tę moją najukochańszą boginię miłości i ma się rozumieć tego łapiducha. Ledwo żywe z mieszkania pouciekali.

Łapiduch podobnież do sądu mnie podał, ale wiem, że będę wolny z tej sprawy, bo i sąd wysoki dałby po zębach, jakby mu kto za życia tromnę kupował.

—o—

Ze świata

Olbrzymia plama na słońcu a upały w Polsce

Astronomowie obserw. San Francisco w Kalifornji, zauważyli na słońcu olbrzymią plamę, szerokości około 25 tys. kilometrów, a długości odpowiadającej podwójnej długości osi ziemskiej. Zdaniem ich jest to pierwsza plama z całej serji, które będą na słońcu przez 12 lat. Wpływ ich na ziemię będzie znaczny, gdyż spowoduje wielkie zaburzenia elektryczne w powietrzu oraz klimatyczne.

Nie ulega wątpliwości, że fala upałów, która zaczęła się w Polsce w kwietniu, a już w pierwszej dekadzie miesiąca maja wywołuje masowe pożary, a nawet klęskę posuchy w powiecie Tarnowskim, — stoi w związku z przemianami, jakie się dokonują na powierzchni słońca. Czy prawdziwa jest teza astronomów amerykańskich, że wybuchy te będą się powtarzały przez 12 lat, — przyszłość pokaże, a jeżeli obecna fala upałów, idących na naszą planetę pozostaje w związku z plamami na słońcu, — to nie należy mieć wielkiej nadziei, że to jest przejściowe i liczyć się należy poważnie z groźbą posuchy w całym kraju.

—o—

Grób 1800 żołnierzy szwedzkich w Polsce

Ppłk. C. A. Bäckström, który prowadził w Polsce badania celem odnalezienia nowych danych, dotyczących Karola 12 i jego wzajemnych ekspedycyj, odkrył ślady nieznanej dotąd tragedji. Wykrył on mianowicie, iż w czasie wojen szwedzkich zginęło w jednem z jezior północnej Polski 1800 żołnierzy szwedzkich i 300 wozów z amunicją.

W nocy z 19 na 20 stycznia 1657 r. oddziały polskie zaatakowały część armji Karola Gustawa X, ówczesnego króla Szwecji. W czasie bitwy, która miała miejsce pod Godziszewem, padło po stronie szwedzkiej 1600 ludzi. Zostali oni pogrzebani we wspólnym kopcu, zwanym dotąd „szwedzką mogiłą". Według ostatnich badań ppłk. Bäckströma w czasie tejże bitwy oddział kawalerji szwedzkiej w liczbie 1800 ludzi i koni zmuszony był podczas ucieczki przeprawiać się przez zamarznięte jezioro Stężyk. Gdy żołnierze znajdowali się na środku jeziora, lód się załamał i wszyscy poszli na dno. Zatonęło również 300 wozów z amunicją. Wkrótce potem — jak głosi miejscowa legenda — ostry mróz ściął lody jeziora na nowo i pozostało ono zamarznięte przez 3 miesiące. Na wiosnę, gdy lody stopniały mnóstwo ryb wypłynęło na powierzchnię, a wody jeziora nie mogły być używane w ciągu kilku lat, ponieważ ludzie i zwierzęta, którzy próbowali ją pić, umierali.

Odnaleziona na dnie jeziora broń, potwierdza prawdziwość tej legendy. Projektowane jest prowadzenie dalszych badań w tym kierunku.

—o—

Co słychać w polityce?

Wspomnieliśmy ostatnio o zbliżeniu włosko-francuskiem, jako bezpośredniej konsekwencji stanowiska **Anglji w kwestji abisyńskiej.** Pierwszym owocem tego zbliżenia jest, jeśli wierzyć doniesieniom prasy angielskiej, zawarcie ścisłego porozumienia wojskowego między obu krajami. Porozumienie to podpisane w wielkiej tajemnicy w tygodniu ubiegłym w Rzymie przez szefów sztabu obu armij, przewiduje współdziałanie wojsk francusko-włoskich **na wypadek wojny z Niemcami.** W ten sposób obie barjery pokojowe na zachodzie i południu, Ren i Brenner doznałyby nowego wzmocnienia, co w konsekwencji dalszej pchać będzie politykę niemiecką w większym jeszcze stopniu na wschód.

—o—

W dziedzinie stosunków **polsko-niemieckich,** mamy do zanotowania nowy fakt, świadczący o zacieśniających się więzach sąsiedzkiego naszego współżycia z Niemcami. Wizyta ministra Becka w Berlinie jest potwierdzeniem słuszności założeń śp. Marszałka Piłsudskiego, który stabilizację stosunków polsko-niemiec kich uważał zawsze za jeden z kamieni węgielnych trwałości pokoju w Europie. **Dzieło Marszałka Polski** znalazło w ministrze Becku konsekwentnego i wytrawnego kontynuatora, który polską politykę zagraniczną w dalszym ciągu prowadzić będzie po drodze wytycznej przez Wodza Narodu, drodze wiodącej ku mocarstwowości.

To też cała opinja polska bez różnicy przekonań śledziła z najżywszem zainteresowaniem przebieg wizyty berlińskiej naszego ministra spraw zagranicznych, wizyty odbywającej się w atmosferze wzajemnej serdeczności. Wizyta ta jest nowym dowodem, że stosunki **polsko-niemieckie układają** się w płaszczyźnie żywotnych interesów **obu narodów,** co daje im cechę trwałości i co w sytuacji europejskiej, tak pełnej sprzeczności, jest elementem stabilizacji o doniosłem, dziejowem znaczeniu.

Gdy na odcinku polsko-niemieckim dokonywuje się z każdym dniem widoczniejsza praca w kierunku usunięcia wszelkich zadrażnień i istniejących trudności, nie brak w Europie odcinków, na których troska o usuwania zarzewia nowych konfliktów nie jest dominująca. Mamy tu na myśli Austrję, której rząd nierozważnym wysunięciem w chwili obecnej kwestji habsburskiej, doprowadził do nowego napięcia w Europie środkowej.

Jak wiadomo rząd austrjacki postanowił znieść ustawy wyjątkowe wydane przez rząd rewolucyjny w roku 1918 i skierowane **przeciwko Habsburgom.** Krok ten w chwili obecnej niepożądany, wywołał w całej prasie liczne komentarze. W państwach Małej Ententy decyzja rządu austrjackiego podziałała, jak sygnał alarmowy. Mała Ententa obawia się, że nowe ustawy pro-habsburskie, przygotowują grunt pod dalszą lub bliższą, ale niewątpliwą restaurację Habsburgów, — a, jak powiedział kiedyś minister spraw zagranicznych Czechosłowacji, wprowadzenie Habsburgów na tron austrjacki czy węgierski — oznacza wojnę.

Wprawdzie łatwiej się to słowo wymawia, niż realizuje, tem niemniej kwestja habsburska może stać się zarzewiem nowych napięć i niepokojów, które skołatanej i tak staruszce Europie wcale, ale to wcale nie są potrzebne.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 14. VII. do 20. VII. 1935 r.

Niedziela, dnia 14 lipca 1935 r.

8.30 Audycja poranna 10.00 Uroczyste otwarcie Jubileuszowego Zlotu Harcerstwa Polskiego przez Pana Prezydenta Rzplitej 12.03 Augustowszczyzna kraina lasów i jezior — feljeton z cyklu „Podróżujmy" wygł. Eugenjusz Zytomirski 12.20 Poranek symfoniczny W przerwie o godz. 13.00 „Figaro, burzyciel Bastylji" — fragmenty z „Wesela Figara" Beaumarchais, w przekładzie i opracowaniu T. Boy'a-Żeleńskiego 13.20 F. Mendelssohn-Bartholdy: Symfonja Szkocka 14.00 Muzyka salonowa 15.00 „Jak należy budować na wsi" — wygł. Stanisław Makarczyk 15.10 Muzyka 15.22 Przegląd rynków produktów rolnych 15.35 Muzyka (płyty) 15.45 Porady weterynaryjne 16.00 Recital fortepianowy Molly Reiznek 16.25 Chór Juranda 16.45 „Wiesz, kto jest wielkim?" szkic literacki 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk. — Koncert 18.00 W obozach harcerskich (Tr. ze Spały) 18.20 Massenet: „Sceny malownicze" 18.30 Cała Polska śpiewa 18.45 „Nad Olzą" — Reportaż 19.25 Marsze w wykonaniu Orkiestr Symfonicznych 19.50 „Praca aktora" — feljeton 20.00 Odczyt o Marszałku Piłsudskim 20.10 Zapomniane utwory Wojciecha Gawrońskiego 20.45 Wybrane myśli Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik Wieczorny 21.00 Transmisja z Jubileuszowego Zlotu Harcerstwa Polskiego w Spale. Uroczyste ognisko na Stadjonie, poświęcone Pierwszemu Marszałkowi Polski Józefowi Piłsudskiemu 21.45 „Na wesołej lwowskiej fali" 22.15 Wiadomości sportowe 22.35 „Nasza marynarka" gra 23.05 Muzyka.

Poniedziałek, dnia 15 lipca 1935 r.

6.30 Tr. z Jubileuszowego Zlotu Harcerstwa Polskiego w Spale 7.20 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 13.05 Koncert 15.30 Muzyka 15.45 Transmisja z Jubileuszowego Zlotu Harcerstwa Polskiego w Spale: Fragment biegu harcerskiego 16.00 Audycja dla dzieci p. t. „W co będziemy się bawili?" (z Wilna) 16.15 Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Z. Górzyńskiego 16.50 Wędrówka Joanny 17.00 Arje i pieśni w wyk. Julji Mechowny (sopran) 17.15 Muzyka wokalna 17.40 Trio smyczkowe Braci Ginzburgów 18.00 Od łuczywa do lampy Bola — odczyt 18.15 „Cała Polska śpiewa" 18.40 Chwilka społeczna 19.30 Audycja żołnierska 19.50 „Co czytać?". (O polskich przekładach pisarzy słowiańskich) szkic literacki 20.00 Rok 1919 w pracy Józefa Piłsudskiego — odczyt 20.10 „Wesoły wieczór" — z Poznania 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert symf. pod dyr. Grzegorza Fitelberga 21.30 Transm. z Jubileuszowego Zlotu Harcerstwa Polskiego w Spale. Fragment ogniska byłych harcerzy 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R.

Wtorek, dnia 16 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Muzyka 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Zespół salonowy Pawła Rynasa 13.30 Z rynku pracy 15.30 Transmisja z Jubileuszowego Zlotu Harcerstwa Polskiego w Spale: Wędrówka po obozach 16.00 „Skrzynka P. K. O. 16.15 Recital fortepianowy 16.35 Muzyka 16.50 „Wędrówka Joanny 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk 18.00 Wielkie gwiazdy — pogadanka przyrodnicza 18.10 Minuta poezji 18.15 „Cała Polska śpiewa" audycja z Krakowa 18.30 Transm. z Jubileuszowego Zlotu Harcerstwa Polskiego w Spale: reportaż z wystawy harcerskiej 18.50 Drobne utwory na fortepian, wiolonczelę i skrzypce 19.30 Recital śpiewaczy Włodzimierza Kaczmara 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Jak polować na kaczki 20.10 Koncert Orkiestry Wiejskiej 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Saint Saens. III-ci Koncert skrzypcowy 21.30 Tr. z Jub. Zlotu Harcerstwa Polskiego w Spale: ognisko skautów zagran. 22.00 Koncert Chóru „Wesoła Piątka" 22.30 Wiadomości sportowe 22.40 Muzyka.

Środa, dnia 17 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Muzyka popularna 15.30 Utwory fortepianowe I. J. Paderewskiego w wyk. Aleksandra Brachockiego 16.00 Obozy wypoczynkowe dla kobiet wygł. Janina Miedzińska. Pogadanka 16.15 Suity liryczne 16.50 Wędrówka Joanny 17.00 Duet śpiewaczy 17.20 Recital śpiewaczy Danki Śleczkowskiej 17.35 Cezar Franck: Sonata A-dur na skrzypce i fort. 18.00 Wesoły skecz 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Opowiadanie dla dzieci 18.45 Utwory charakterystyczne 19.30 Pokój dziecinny (Coin des enfants) Cl. Debussy'ego 19.50 Świat się śmieje 20.00 Wiadomości rolnicze 20.10 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 „Flis" — opera Stanisława Moniuszki 22.00 Odczyt o Marszałku Piłsudskim 22.10 Wiadomości sportowe 22.20 Utwory Emeryka Kalmana.

Czwartek, dnia 18 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Mała orkiestra P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Respighi: Pinje rzymskie 15.30 Koncert w wyk. Zespołu Kameralnego Niny Mańskiej 16.00 Wesoła audycja dla dzieci 16.15 Władysław Walentynowicz 16.30 Muzyka salonowa w wyk. ork. A. Sandlera 16.50 Wędrówka Joanny 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 18.00 O książce Lepeckiego „Sowiecki Kaukaz" 18.10 Minuta poezji 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Dokąd jechać w święto? 18.45 Wielcy kompozytorzy jako wykonawcy własnych utworów 19.30 Ulubione piosenki 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Poznajemy przepisy finansowo rolne 20.10 Grano-Gala-Varieté 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert w wyk. Ork. Symf. P. R. pod dyr. Józefa Ozimińskiego i Sergjusz Benoni śpiew 21.30 Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko p. t. „Kryzys Węgierski" żart radjowy Stefana Zagona" 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Z. Górzyńskiego

Piątek, dnia 19 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Piosenki w wykonaniu Tito Dhipa, Niny Coshetz i Róży Pancelle 15.30 Koncert Orkiestry Dętej Straży Więziennej pod dyr. L. Spitzera 16.00 Woda jako środowisko życia — Odczyt 16.15 Koncert w wykonaniu Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego ze Lwowa 16.35 Pogadanka dla chorych w opracowaniu ks. kanonika Michała Rękasa 16.50 Wędrówka Joanny 17.00 Miniatury kwartetowe 17.40 Recital fortepianowy Ryty Zausner 18.00 Przez kamieniołomy Zagnańska do kieleckich marmurów 18.15 Cała Polska śpiewa 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Stare walce 19.30 „Z mego ogródka" — Recital śpiewaczy Heleny Zboińskiej-Ruszkowskiej 20.00 Skrzynka rolnicza 20.10 Koncert 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert Symfoniczny 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Muzyka lekka i taneczna 23.05 Muzyka taneczna w wykonaniu różnych Zespołów.

Sobota, dnia 20 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Koncert 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Schubert: Symfonja h-moll 14.30 Najnowsze nagrania na płytach 15.25 Nasz handel morski 15.30 Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko dla dzieci p. t. „Kaczy staw" 16.15 Koncert solistów 16.50 Codzienny odcinek prozy: „Wędrówka Joanny 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk 18.00 Poradnik sportowy 18.10 Minuta poezji 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Przegląd wydawnictw 18.40 Życie kulturalne i artystyczne stolicy 18.45 W. A. Mozart: Serenada 19.15 Koncert reklamowy 19.30 Nasze pieśni — w wykonaniu Marji Mokrzyckiej 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Przegląd prasy rolniczej krajowej i zagranicznej — wygł. Irena Niewodniczańska z Wilna 20.10 „Wśród wielkich artystów" Impresje muzyczne w opracowaniu Celiny Nahlik (Ze Lwowa) 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Audycja dla polaków zagranicą 21.30 Tatry polskie i czeskie — Koncert Orkiestry Symfonicznej P. R. pod dyr. Grzegorza Fitelberga 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Wesoła Syrena audycja p. t. „Podróż w czasie" w opracowaniu Swiatopełka Karpińskiego i Janusza Minkiewicza 22.30 Mała orkiestra P. R. pod dyr. Zdzisław Górzyńskiego.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

ułożył Witold Mataczyński — Łysinin

Chcesz	je	prze	nę	du
czy	szcze	mieć	„Mo	i
Po	to	ści	żo	i
ro	taj	do	ści"	mów
ści	wie	za	Kra	ra

Ruchem konika szachowego znaleźć rozwiązanie.

ANAGRAM

ułożył „Zeus"

Kilka liter, kto wciąż miesza
Cztery słowa z nich wyjawia;
Pierwsza zwykle się zawiesza
Druga również, lub też stawia,
Trzecia smukła i zielona
Z czwartą zaś wojuje bona.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 19 lipca br.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Julja Zemska — Chorzów, Eugenjusz Pasternak — Trembowla, Józef Hodorowski — Kraków, Ignacy Porkowicz — Świecie, Iza Kocińska — Opalenica, Włodzimierz Gaczyński — Sławin, Juljan Owsiany — Częstochowa, Marjan Kolany — Gdynia, Wiktorja Kapkówna — Nieśwież, Ewelina Zgórska — Kraków.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Ewelinie Zgórskiej z Krakowa i Włodzimierzowi Gaczyńskiemu z Sławina.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

44)

Odchylił krzak, schylił się, aby podnieść biedną Nanettę, już wyciągnął rękę, — nagle wyrwał mu się z gardła zdławiony krzyk, cofnął się w tył, jakby gorącą wodą oparzony: nie było trupa w krzaku; — znikł, przepadł, — woda uniosła go ze sobą w dal! —

W pierwszej chwili nie wiele brakowało, żeby młody Pifferon nie wskoczył sam do rzeki. Chciał przynajmniej spróbować dotrzeć do trupa, którego nie mogła przecież bardzo daleko w tak krótkim czasie unieść woda, chciał go dosięgnąć i przywlec do brzegu.

Uważnie począł się rozglądać po wodzie, ale nigdzie ani śladu trupa na szklistej powierzchni.

Stał bezradnie łamiąc ręce z rozpaczy, gdy tuż z tyłu usłyszał ochrypły śpiew. Obróciwszy się, ujrzał ojca.

Stary wykorzystał widocznie dobrze cały czas przesiedziany w szynku, bo chwiał się na wszystkie strony na nogach i jego nieporosłe, wklęśnięte policzki zaróżowiły się niezwykłym ogniem.

W jednej ręce trzymał flaszkę z jakąś zieloną wódką i machając nią na prawo i na lewo wykrzykiwał już z daleka:

„Dalejże, mój synu, posil się na drogę i jedźmy naprzód. Markiz Satanelli gotów już na nas czekać w trupiarni".

„Gdzie zwłoki?" wysapnął zachrypłym głosem, kierując swoje wodniste, zmącone alkoholem oczy na próżne nosze. „Gdzie trup? Łajdaku, coś ty zrobił z trupem? Nie widzę go!"

„Ojcze!" krzyknął Ludwik, „ja przysięgam ci, tutaj w tym krzaku chciałem schować ją przed patrolą, która przechodziła tędy. Zaraz po odejściu jej lecę do krzaka i — i widzę, że niema trupa, — woda musiała go porwać! Ratunku, rozbiłeś mi łeb! — —"

Stary Pifferon nie czekając końca tego oskarżenia ze strony syna rzucił mu na głowę flaszkę z wódką.

„Łotrze!" wrzasnął stary, „przyznaj się, tyś sprzedał trupa, przeszachrowałeś, odstąpiłeś doktorowi Palefrenenier! Wyznaj, — on ci dał za to trzysta franków w łapę!"

„To nie prawda, ojcze!" zawołał młody Pifferon. „Poczekaj, ja cię za to wrzucę do wody jak kota we worku!" krzyknął stary, tracąc wskutek alkoholu i gniewu prawie zupełnie przytomność, „ja ciebie nie potrzebuję! Ty rujnujesz moje rzemiosło! Ośmielasz się poza memi plecami oszukiwać mnie, — poczekaj, ty psia ścierwo!"

Z temi słowy rzucił się stary na swego syna, łapiąc go za gardło. Ale młody odtrącił go od siebie jak gruszkę.

„Ojcze, zostaw mnie w spokoju", zaryczał Ludwik, „albo zapomnę, z kim mam do czynienia".

Potrącił go tak silnie w pierwszem uniesieniu, że stary potoczył się na dół po spadzistym brzegu.

Stary Pifferon, zatrzymawszy się przy krzaku, przyszedł trochę do siebie. Musiał sobie przyznać w duszy, że nie dorówna młodym siłom swego syna. Z wściekłości zaklął głośno i począł się wdrapywać napowrót do góry.

„Łotrze, te tysiąc franków, któreśmy mieli dostać za trupa, — przepadły", począł zawodzić stary na nowo.

„Może ją jeszcze odnajdziemy", odparł Ludwik, rozpatrując się powtórnie uważnie po powierzchni wody. „Musimy zaraz zacząć poszukiwanie wzdłuż brzegu z biegiem wody, — nie mógł jej jeszcze daleko prąd zanieść".

Stary musiał przyznać w duszy, że lepiej robić poszukiwania, jak kłócić się daremnie z młodym.

Obaj udali się szukając za śladami. Każdy krzak rosnący tuż koło wody poczęli dokładnie przeszukiwać, czy nie zatrzymały się przypadkowo zwłoki u prętów tegoż.

Szukali już może z jakie pół godziny wzdłuż brzegu za zagubionemi zwłokami, gdy nagle Ludwik zakrzyknął z radością.

„Hej, ojcze, — tam, tam, — nie widzisz?"

Stary przysłonił oczy, spoglądając z natężeniem w dal, ale pomimo jasnego światła księżyca nie mógł niczego spostrzec.

„Głupcze", począł na nowo mruczeć stary grabarz. „Tobie się widocznie coś przyśniło!"

Ludwik począł skwapliwie rozdzierać jakiś krzak.

„Ojcze, — ojcze", zawołał „nie widzisz doprawdy jeszcze niczego?"

Stary grabarz wytrzeszczył oczy.

„Przeklęty durniu", beształ z wściekłością, „czego ty tam chcesz? Zostaw tę tam, niech sobie leży, — co nas ta cudza dziewczyna obchodzi, poszukajmy raczej naszej zguby".

Ale Ludwik nie zważał na starego. Z mozołem wyciągnął z wody trupa jakiejś dziewczyny, której włosy uczepiły się krzaku nad brzegiem.

„Ona niedługo we wodzie, niedawno musiała umrzeć", zawołał Ludwik, zwracając się do ojca, „to młoda dziewczyna, wskoczyła zapewne do wody w celu samobójczym. Kto wie, co ją do tego kroku skłoniło!"

„Zostaw ją tam, gdzie leżała", zakrzyknął stary Pifferon, „poszukaj lepiej za naszym trupem".

„Ojcze, tego możemy szukać aż do rana nadaremnie, — nasz trup albo zatonął, albo prąd porwał go środkiem w dal".

„Do djabła, w takim razie przepadły nasze tysiąc franków, które nam obiecał Satanelli".

„Tysiąc franków", powtórzył Ludwik z namysłem, „a może uda się nam uratować te pieniądze? Cobyś na to powiedział, stary, jakbyśmy tę utopioną rozebrali do koszuli, włożyli na mary pod czarne sukno i zanieśli do markiza?"

„Smarkaczu, tyś przecie łotr skończony", zawołał stary, „to djabeł ci chyba podszepłał tę dobrą myśl, — jak to znakomicie, że nie rozbiłem ci pałki i nie utopiłem w rzece. No, spróbujmy, — tylko Satanelli odkryje ten podstęp!"

„Głupstwo, ojcze, — Satanelli nie potrafi tego odkryć, jakżeby mógł się domyśleć, że zamieniliśmy zwłoki. Zresztą ta tutaj także młoda dziewczyna, przytem ładna, nawet. Popatrz tylko, co za ładne ciałko".

„To prawda, niczego bestyjka", zamruczał stary Pifferon, — „ta nie potrzebowała rzucać się do wody. Znalazłby się z pewnością mężczyzna, któryby ją obsypał dostatkami".

Młody Pifferon począł zdejmować z trupa suknie.

„Djabelsko ładne kształty, — tak pięknych członków jeszcze nie widziałem, że to jeszcze niewinna dziewczyna" zamruczał sam do siebie, widząc przed sobą obnażone ciało utopionej dziewczyny.

„Mógłbym się założyć o niewiem ile, że chciał ją któryś uwieść i dlatego rzuciła się do Sekwany. Co jeszcze dziwne, — ani jednej rany nie widać na ciele; — i twarz taka niezmieniona, jakby spała tylko, wcale niepodobna do trupiej twarzy. Widocznie nie była długo we wodzie. Może jak wskoczyła do rzeki odezwało się w niej sumienie i chcąc się ratować, przypłynęła tu do brzegu, dopiero tutaj zabrakło jej sił do wydostania się na górę, — zemdlała lub dostała udaru serca".

„To możebne!" odezwał się stary Pifferon, „kto wie, czy to nie ten sam trup, za którym szuka markiz, — ale naturalnie zamilczymy o tem. Satanelli musi być przekonanym, że mu tego samego trupa przynosimy, którego nam wręczył".

Obaj porwali za nosze i ułożyli zmarłą na nie, zawinąwszy ciało, które wyrwali co dopiero z wody, w czarne sukno. Podnieśli nosze, podobne do trumny, w górę i skierowali swe kroki do Montmartre, gdzie czekał na nich Satanelli.

LXI.

U trumny ukochanej.

Hrabia Kazimierz leżał tej nocy niespokojnie na swojem łóżku, nie mogąc znaleźć snu. Ach, jakiem dobrodziejstwem byłoby dla niego, gdyby mógł zapomnieć na wszystko, odrzucić od siebie tę dręczącą go nieustannie myśl o Anielce, gdyby dobroczynny anioł snu przeniósł go z rzeczywistości w krainy cudnych złudzeń i marzeń!

Obraz ukochanej dziewczyny tkwił mu wciąż w pamięci, ukazywał mu się przed okiem duszy. Cała scena koło kościoła Notredame powtarzała mu się nieustannie. Widział ciągle Anielcię, jak z bladą twarzą i mokremi oczami stała nieopodal drzwiczek powozu ślubnego, jak skierowała nań oczy nieruchomo, — oczy pełne niewysłowionego bólu. — Po tem jednem spojrzeniu jej błyszczących oczu dorozumiał się całej głębi jej rozpaczy.

To jedno spojrzenie przemawiało do niego wyraźnie:

„Czemże ja zostanę bez ciebie, — co stanie się ze mną, jeżeli nie będę cię mogła nazwać swoim, ciebie, którego ukochała ponad życie własne, — ciebie, któremu zaufałam całkowicie, któryś mi ze świętą przysięgą na ustach darował, oddał swe serce!"

Tymczasem ujrzała inną przy jego boku, — ta inna miała wpleciony wianek ślubny we włosy, — tak ona była szczęśliwą narzeczoną jego!

Ach, co za uczucia doznało to nieszczęśliwe dziewczę, kiedy zrozumiało całą sytuację! Co za rozpacz ogarnęła jej serce! Co pomyślała na widok jego tuż przy boku innej kobiety w ślubnym stroju, której przysiągł dopiero co, przed ołtarzem dozgonną miłość i wiarę!

Czyż nie było tego dosyć do rozsadzenia serca, do rozpaczy, która pognała ją niezawodnie w ciemny grób. Tak, — był przekonanym, że ten jeden krok pozostał jej jeszcze, — że pobiegłą wprost do rzeki, — że rzuciła się w toń!

Ale, czy nie została uratowaną? Czy pochłonęły ją napewno fale Sekwany, — przerwały jej boleść i rozpacz, — odebrały świadomość nieszczęścia? — Ach, gdyby miał pewność tego, uczułby się prawie spokojniejszym, — drżał na myśl że Anielcia mogła dostać się do brzegu unosząc ze sobą życie razem z tym bezmiernym bólem. W czyje ręce wpadła następnie?

„Wielki Boże!" zawołał nieszczęśliwy, młody człowiek, zrywając się z łoża i przyciskając dłonie do rozpalonego czoła, — „jeżeli Anielcia naprawdę zdołała się uratować, — ach, — w takim razie jeszcze wszystko możnaby naprawić! Te więzy, jakie mnie obecnie krępują, które sam włożyłem sobie na ręce, rozedrę, jeżeli tylko potrafię tem uszczęśliwić Anielcię!"

Kazimierz zamilkł. Rzucił wzrokiem na przeciwległe drzwi. Czyż nie mogła stać za niemi Lola i podsłuchiwać go?

„Ta nieszczęsna, która mnie zmusiła do oddania jej mego nazwiska, — ha, ale nie zmusi mnie do darowania miłości, — mego serca!

„Biada mi, żem związał się wówczas przysięgą przed ojcem! Tem samem skazałem Anielcię na śmierć, — wtrąciłem ją do wody. Musiała przecież uznać mnie za wiarołomnego oszukańca, — za nędznego kłamcę, — z tem przeświadczeniem pękło jej serce. Została haniebnie oszukaną! I Lola, — ha, ta nieszczęsna, — co za zysk odniosła ze swego zwycięstwa? Jest moją żoną i nazywa się Zamską. Ale oto w pierwszej nocy poślubnej staje się wdową! Żoną i zarazem dziewicą! Nigdy, nigdy nie pociągnę jej do mej piersi! — Nie przycisnę do mego serca! — Co za los, musieć żyć przy boku kobiety, której się nie kocha".

Kazimierz nie mógł dłużej wytrzymać na posłaniu. Wyskoczył z pościeli i zarzucił na siebie szlafrok, który leżał tuż koło jego łóżka, zbliżył się do okna i drżącą ręką otworzył je.

Musiał odetchnąć świeżem powietrzem. — Ach, jak mu dobrze robił ten zimny, powiew wiosenny, muskający jego rozpalone skronie.

Popatrzył na dół do parku, na milczące drzewa, które stały w ciszy, jakby uśpione wiosennem tchnieniem, śniąc o nowem życiu.

Nagle ujrzał powóz, migający się wpośród cieni drzew. Jakby wielkie oczy smoka zdały mu się dwie latarnie, umocowane na przodzie tegoż.



Mistrzyni-pływaczka Holandji i olimpijska Willie den Ouden ustanowiła nowy rekord świata, przepływając 330 jardów krawlem w czasie 3:27 min. Jest to ósmy rekord tej młodej holenderskiej pływaczki, uwidocznionej na naszem zdjęciu.

Powóz potoczył się bliżej, — właśnie chciał Kazimierz odstąpić od okna, — w tej chwili stanęła kareta tuż przed drzwiami jego pałacyku.

Kazimierz zdrętwiał cały. Serce poczęło mu tłuc w piersiach jak młotem, dziwne przeczucie, że przyjazd ten późny jakiegoś gościa ma związek z jego boleścią duszy przepełniło mu pierś niezachwianem przekonaniem.

Ale któżby mógł teraz w nocy przyjeżdżać do niego?

Chyba tylko ojciec Loli mógł o tak spóźnionej porze odwiedzać go.

Może pożaliła mu się Lola, — może mu wyznała swoje nieszczęście, — zdradziła wszystko, co zaszło pomiędzy niemi w pierwszej nocy po ślubie, — opowiedziała mu, że on ją odtrącił od siebie?

„Ha, na Boga!" zawołał młody hrabia z goryczą w głosie, „to tylko może być hrabia Zygmunt! Więc dobrze, — niech przyjdzie, — wyznam mu całą prawdę, — ale nie, — — to nie on", — wyrwało mu się ze zbladłych warg, — „to ktoś inny! — Ten długi, czarny płaszcz, — czarny kapelusz, wsadzony głęboko na czoło, — ach, to Edwin Lister, to detektyw!"

W tej chwili pospieszył Kazimierz do drzwi, wołając na kamerdynera, który spał o kilka pokoi od niego oddalony.

„Franciszku, Franciszku!" zawołał na starego służącego, który we wpółsennym stanie, z przestrachem wytrzeszczył oczy na swego pana, — „przyjechał ktoś, — właśnie puka do drzwi, — ja muszę się z nim rozmówić!

„Nie pytaj, co za jeden, — ja już wiem! Wpuść go do mojego gabinetu. Ubiorę się w tej chwili!"

Hrabiemu drżała ręka w ten sposób, że ledwie zdołał dokończyć toalety.

„Panie hrabio!" zawołał kamerdyner, „ten pan w płaszczu czeka już w pracowni!"

„Już idę!" odpowiedział Kazimierz, „w pięciu minutach będę mu mógł służyć! — Wielki Boże, co on ma mi do powiedzenia?" spytał się Kazimierz sam siebie, znalazłszy się znowu sam na sam ze sobą. — O, Anielciu, moja droga, słodka Anielciu, gdybyś ty jeszcze żyła, wtedy, — ach wtedy ukląkłbym przed tobą i na kolanach błagałbym cię o przebaczenie! Wtedy potargałbym te ogniwa, które mnie opasały jak niewolnika, wolnym, tak, wolnym musiałbym pozostać dla ciebie, mój skarbie!"

W pięć minut wstąpił hrabia do swojej pracowni, w której kamerdyner pozapalał kilka świec. Dziwnie posępne, upiorowe blaski rzucały światła na bladą twarz tajnego ajenta, który stał wyprostowany w środku elegancko urządzonej komnaty.

„Pan jesteś rzeczywiście tajnym ajentem Listerem!" zawołał Kazimierz słabym głosem, przystępując bliżej niepewnym krokiem do gościa. „Pan — pan przybywasz tak późno w nocy? Widocznie musiało coś bardzo ważnego spowodować pana do tej późnej wizyty?"

„Tak jest, panie hrabio!" odpowiedział Lister niskim, basowym głosem.

„Spodziewam się, że przynosisz mi pan wesołą nowinę?" ciągnął dalej Kazimierz z wzrastającym niepokojem, „nie prawdaż, pan wpadłeś przynajmniej na jej trop? O dzięki, stokrotne dzięki, kochany panie Lister, sam pozbawiasz się pan snu, aby mi tylko móc służyć nowiną. Proszę pozwolić, że uściskam panu dłoń!"

„Panie hrabio, ja przynoszę panu wesołą i zarazem smutną nowinę".

„Ach, panie Lister, w tych słowach kryje się straszny sens! To znaczy, żeś pan znalazł Anielcię, lecz ona — stracona dla mnie na zawsze, Anielcia Dubois"

„Umarła", dokończył detektyw, widząc, że młodem hrabiemu głos odmawia posłuszeństwa.

Nieszczęsny młody arystokrata złapał się obu rękami za serce, zachwiał się, jakby się pod nim podłoga zaczęła zapadać. Z głuchym okrzykiem przerażenia upadł na swoje krzesło.

Detektyw odszedł nieco na bok, jakby chciał dać czas biednemu, nieszczęsnemu hrabiemu do zwalczania pierwszej boleści. Kazimierz nie mógł widzieć tego pogardliwego, drwiącego uśmiechu na wargach bladego mężczyzny, który mu przyniósł wieść o śmierci jego ukochanej.

„Umarła, naprawdę umarła!" jęczał Kazimierz szlochając.

Rozpłakał się jak dziecko, — nie zdołał zapanować nad tym strasznym bólem, jaki mu pierś rozsadzał.

„Więc nie zobaczę jej więcej nie przycisnę do piersi, — do kochającego serca! Ach Boże, jak Ty mnie surowo karzesz, odejmując mi możność naprawy występku, jakiegom się dopuścił względem tej słodkiej, kochanej dziewczy-

ny. Umarła! — Ha, — teraz zapada wieczna noc dla mnie, — w ciemnościach błąkać się będę, — żadna mi gwiazda przyświecać nie będzie, bo Anielcia, moja Anielcia najdroższa, — nie żyje, — moja gwiazda, której szukałem, która mi życie opromieniała, — zagasła!“

Szlachetna to była rozpacz, ból w całej postaci objawiający się tak wielki, że każde serce ludzkie na widok jego musiałoby zmięknąć i odezwać się echem współczucia, — tylko nie serce tego, który jednem słowem — jedynem, mógł położyć kres męce wewnętrznej Kazimierza. On, — sprawca tego, milczał, pastwił się i napawał wzrok swój męczarniami ofiary, która mu przecież nic nigdy w życiu nie zrobiła złego.

O, bo są demony w ludzkiem ciele, których potrzebą kąpać się w cudzych łzach i boleści, — są zwyrodniałe naturu, bez względu nieraz na jakim szczeblu hierarchji społecznej się znajdują, bez względu na inteligencję, — które mają serce z kamienia, — serce szorstkimi kantami swoimi rozdzierające i krwawiące inne.

Kazimierz płakał. Minuty przebiegły, zanim łzy płynąć przestały. Na twarzy połyskiwały ciągle ich ślady niby lśniące djamenty bólem serca wyciśnięte.

„Daruj pan“, przemówił wreszcie do detektywa, z miejsca powstając, „że nie mogłem zapanować nad sobą. Powiadają, że nie godzi się mężczyźnie płakać, chyba nad grobem matki. Ale to, com ja teraz utracił, było jedyną istotą na ziemi, którą z serca ukochał, za którą ustawicznie tęskniłem. Na nadziei z jej osobą związanej jam przyszłość swą budował, — a teraz z jej śmiercią, wszystko stracone. — Rozumiesz pan teraz?

„Ale opowiedz mi pan wszystko, co wiesz. Gdzie i jak ją znaleźli, — gdzie ją fale wyrzuciły na brzeg, — gdzie jej zwłoki teraz? Gdyby zwłok jej nie znaleziono, nie mówiłbyś pan z taką stanowczością, że umarła, — gdzie jej ziemska powłoka, z której uleciał mój anioł?“

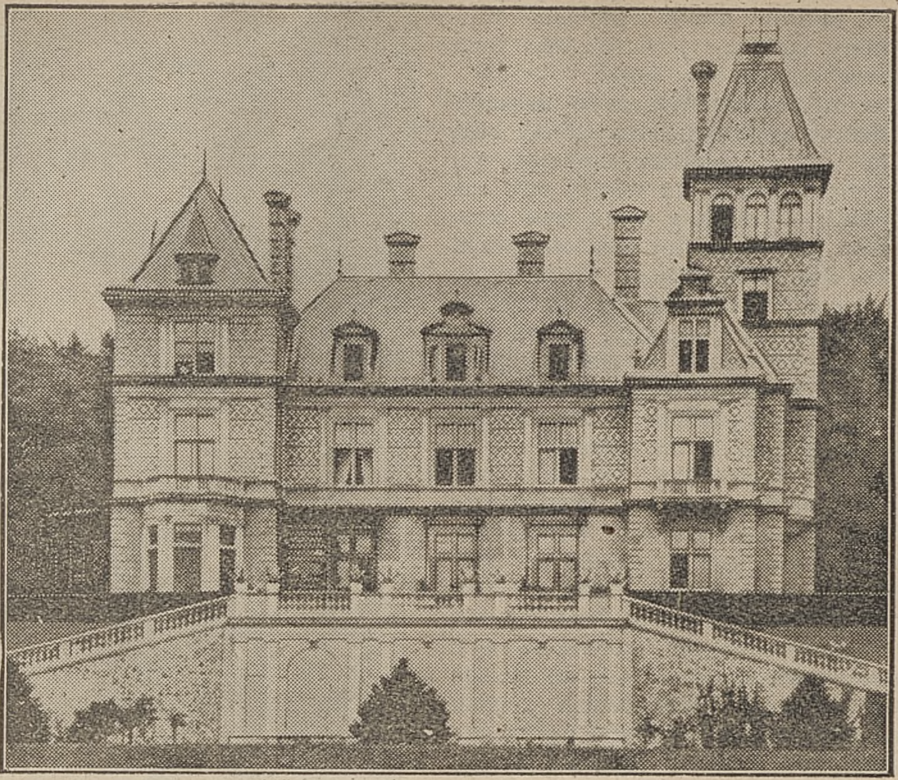
„Tak, — znaleziono ją“, odparł Lister z zimną krwią, „prędzej, jak się spodziewałem. Jeden z moich ajentów, których na wszystkie strony na zwiady rozesłałem, doniósł mi dzisiaj, że fale Sekwany wyrzuciły na brzeg ciało młodej kobiety. Rybacy znaleźli je i zanieśli na cmentarz Montmartre. Tam oddali grabarzowi Pifferon, który otrzymał następnie ze strony policji polecenie, dziś jeszcze je w nocy pochować“.

„Dziś jeszcze w nocy? O jak spieszno ludziom grzebać co piękne i dobre!“

„Dlatego nie zważając na porę przybyłem“, ciągnął Lister, nadając głosowi swemu odcień współczucia, — „sądziłem, że życzeniem pańskiem byłoby, nieszczęśliwą raz jeszcze widzieć!“

„O, panie, pan czyta w sercu mojem!“ zawołał Kazimierz. „Tak, — muszę ją widzieć, po raz ostatni spojrzeć na te drogie mi zwłoki, po raz ostatni na pożegnanie dłoń jej uścisnąć!“

„W tej chwili“, mówił dalej detektyw, — „zwłoki złożone są w trumnie przy trupiarni na cmentarzu. Z brzaskiem dnia musi być pochowana. Rozkaz policji wyraźny, — grabarz opierać się mu nie śmie. Jeżeli więc pan, panie



Rząd austrjacki zgodził się na powrót do kraju wygnanej w 1918 r. rodziny cesarskiej Habsburgów. Habsburgowie po powrocie do Austrji zamieszkają w zamku Wartholz pod Reichenau, który widzimy na zdjęciu.

hrabio, ma zamiar stanowczy, widzieć je raz jeszcze, proszę w takim razie zemną. Mój powóz czeka“.

„Dobrze“, — złamanym głosem ozwał się Kazimierz. „Mój Boże, zdaje mi się jakby to wszystko sen był ciężki. Teraz w nocy, w ciemności mam się udawać na cmentarz, by złożyć w grób moją Anielcię, którą przed kilku dniami zdrowiem kwitnącą jeszcze widziałem. — O, losie ludzki! Ktoby to był przypuszczał, że dziś nad jej zwłokami stać będę ze skargą na ustach i przekleństwem dla siebie.“

„Jeszcze jedno, panie hrabio, — muszę pańską uwagę zwrócić na rzecz jedną, zdaniem mojem, pełną wagi.

„Wspomniał pan przed chwilą, że po raz ostatni widział ją pan kwitnącą zdrowiem. Nie chciałbym narażać pana na nieprzyjemne rozczarowanie, — dlatego uprzedam, że zobaczy ją pan strasznie zmienioną. Pominąwszy to, że śmierć sama wyciska piętno na twarzy ludzkiej, odzierając je równocześnie z piękności i powabu naturalnego, z życiem związanego, znanem jest ogólnie, że zwłoki topielców monstrualnie wyglądają“.

„Więc nawet nie ujrzę jej taką, jaką była, — mam więc widzieć tylko trupa, który ją przypomina.

„I to nawet może nie, panie hrabio“, przerwał detektyw, „na każdy sposób proszę sobie nie robić żadnych iluzyj i przygotować się na straszną zmianę“.

„Okropność!“ rzekł Kazimierz. „To jest los ludzkiej piękności, — ułuda, — przemija i nic po niej nie pozostaje, prócz wspomnienia we wiernem sercu. — Chodźmy już jednak. Już trzecia godzina. — Wnet i dzień zawita a my tu wciąż jeszcze. Daruj pan, tylko płaszcz wezmę na drogę i jestem gotów“.

Wyszedł z pokoju. Na ustach detektywa zaigrał złośliwy uśmiech.

„Przygotowałem go należycie“, szepnął do siebie, „nie pozna, żem go podszedł. Będzie najmocniej przekonany, że widział Anielcię i nigdy już jej w życiu nie zobaczy! Ciekawe, — ten człowiek, nigdy mi nic złego nie zrobił a jednak czuję nieprzepartą ochotę pograć z nim po swemu. Bogacz — a ja bogaczów nie cierpię. Walka z ulubieńcami losu była zawsze moją dewizą!“

„Jestem gotów“, ozwał się głos u drzwi, — czarnym płaszczem odziany, w kapeluszu na ciemnych włosach wszedł Kazimierz do pokoju.

„Chodźmy! Jakaś siła ciągnie mnie gwałtem do zmarłej — takie mam przeczucie“.

Wyszli. Po drodze dał Kazimierz kamerdynerowi swojemu zlecenie, by świece w jego pokoju pogasił i nikomu nie opowiadał że tak późną nocą wyszedł z domu.

W minutę później siedzieli w powozie. Rącze konie unosiły ich w stronę cmentarza.

Jazda, w czasie której obydwaj w myślach, — każdy zapewne w innych pogrążeni, nie zamienili ani słowa, — długo nie trwała. Po kwadransie drogi zatrzymał woźnica konie przed wielką, żelazną bramą. Lister dotknął się zlekka ramienia Kazimierza.

„Jesteśmy u celu!“ rzekł.

Wysiedli. Szeroką, żwirem posypaną drogę, którą stąpali oświecał księżyc.

Przy blasku jego, wskazując wprost siebie, ozwał się Lister:

„Tam w tym małym domku znajdziemy ją“.

Hrabia przyspieszył kroków. Pod kamiennym słupem widać było ludzką postać, która przy ich zbliżaniu, podniosła się.

„To grabarz“, szepnął Lister hrabiemu. „Nie wolno mu pozwalać na oglądanie



Piękne panie chętnie bawią się na plaży olbrzymią piłką.

zwłok. Ale poczucie jego obowiązku zmiękło, gdy ręka poczuła pieniądze. Musiałem go przekupić".

Kazimierz kiwnął głową machinalnie. Nie rozumiał nawet, co towarzysz mówił do niego, myśli były zajęte tą, którą tą, którą za chwilę miał ujrzeć.

„Dobry wieczór, panom", rzekł, postępując ku nim, grabarz. „Czekałem z niecierpliwością, późno już, czas najwyższy, by zamknąć trumnę i pochować ją".

„Dobrze, dobrze", rzekł Lister, rzucając nieznacznie, ale wieloznaczące spojrzenie Pifferonowi; „ten pan chce widzieć jeszcze raz dziewczynę, która mu za życia drogą była. Zrobicie więc najlepiej, gdy się na kilka minut cofniecie i jego samego pozostawicie".

„Tak, oddal się, mój przyjacielu", rzekł Kazimierz, „w tej chwili nie chcę widzieć innych twarzy koło siebie, prócz tej, z którą wnet pożegnam się na wieki".

„Gdzie zwłoki?" zapytał Lister.

„Tam, w kącie!" odparł Pifferon, wskazując na czarną trumnę, leżącą na małym drewnianym postumencie; „ubogo wygląda, ani kwiatów ani wieńca. Trudno, — samobójczyni, — kościół i policja nie pozwalają, by robić jakie zachody".

„Samobójczyni!" — powtórzył Kazimierz; słowo utknęło na pół na ustach. „Ona samobójczyni, — nie, — to jam ją zamordował, na mnie cięży cała wina!"

Ocknął się z chwilowej zadumy, — przytłumił to dziwne uczucie bojaźni czy wstrętu, którego doznaje każdy, kto ma widzieć w objęciach śmierci osobę, którą po raz ostatni widział zdrową, — i pewnym krokiem przystąpił do trumny.

Zwłoki były pokryte całunem, — niewidzialne jeszcze dla oczu Kazimierza, stojącego z boku. Lister przybliżył się ciekawy, czy podstęp się uda.

„Teraz zdejmę z niej sukno!" rzekł do Kazimierza, — „odwagi i męstwa, — bądź pan mężczyzną!"

Srebrne światło księżyca oblewało swym blaskiem trupiarnię — i trumnę. Detektyw wyciągnął rękę do sukna. W tem Kazimierz uchwycił ją i brutalnie niemal odtrącił.

„Proszę, zostaw pan to mnie!" rzekł Kazimierz z taką stanowczością w głosie, z jaką się Lister dotychczas nie spotykał u niego. „To już do mnie należy. Proszę zostaw mię pan sam na sam z nią. I tak aż nadto zwierzyłem się z boleści mojej przed panem. Ale teraz uczucia moje, jakich na widok mej drogiej osoby doznawać będę, niech nie mają świadka, — dlatego daruj pan, — ale proszę zostawić mnie samego!"

Z tego obrotu Lister nie był zadowolonym wcale, — inna mu jednak droga, jak usunąć się, nie pozostawała, jeżeli nie chciał wzbudzić jakiegokolwiek podejrzenia.

„Idę, panie hrabio, ból pański pojmuję zupełnie!"

To rzekłszy, cofnął się idąc na palcach aż do owego słupa, gdzie przedtem stał Pifferon: stamtąd mógł dobrze Kazimierza obserwować.

Kazimierz tymczasem pochylił się z twarzą na nowo łzami oblaną nad trumną, która wszystkie jego nadzieje kryła.

Wyciągnął rękę i pomału ściągnął sukno. I oblana srebrnem światłem księżyca ukazała mu się twarz zmarłej. Z krzykiem bólu zawołał:

„Anielciu! — Tyżeś to?" — W takim cię więc widzę stanie!"

I padł szlochając zrozpaczony na zwłoki swej lubej, oparł swą głowę o jej piersi a ręce wpił w jej jedwabne włosów loki.

„Idzie jak z płatka!" rzekł do siebie detektyw, nie spuszczając z oka tego, o którym był przekonany, że go straszne oszukał. „Czego to fantazja nie dokaże! Biednej Nanecie ani się nie śniło, że ktoś będzie tyle łez za nią prócz siostry przelewał i do tego jeszcze taki przystojny arystokrata! Tak, to sztuka, której dokazać może Lister."

Kazimierz objął obydwoma rękami głowę ukochanej i podniósł ją. Wzrok swój, pełen przerażenia, bólu i rozpaczy utkwił w nią. Z ust jego płynął szept:

„Najdroższa moja, to niemożebne, byś ty nie żyła! Słuchaj, Anielciu, to ja, który do ciebie przemawiam, twój Kazimierz! — Pamiętasz, żeśmy sobie ślubowali, razem żyć i razem umierać! — O jak drogo muszę mój błąd opłacić, — czyn nierozważny, którym popełnił, gdym się dał spętać węzłami, — o Anielciu, odpowiedz mi! Jedno, jedyne tylko słowo! — Patrz, ze łzami błagam cię, — ja z rozpaczy dostanę obłędu! Anielcio, ja chcę żyć tylko dla ciebie, — tylko się obudź, otwórz oczy! — Na darmo, — ona mnie nie słyszy, — nie żyje, — jam ją utracił, — postradał na zawsze!"

Odjął ręce, — głowa nieszczęśliwej opadła na twardą poduszkę, na której przedtem spoczywała.

Kazimierz zanosił się od płaczu, drżał na całem ciele, — cała jego dusza zdawała się rozpływać we łzach.

Twarz jego była bladą, — bladością niemal trupią; w nieładzie loki bujnych jego włosów spadały mu na czoło, — oczy świeciły blaskiem gorączki.

„Ach, co pomogą łzy i narzekania!" zawołał z goryczą, — „łzy nie ożywią tych, których się o śmierć przyprawiło. Żal i rozpacz przychodzą zapóźno, — Anielci życia nie przywołają. Na skargi moje swych oczu nie otworzy! Tych oczu, które ongi pełne miłości i nieświadomej tęsknoty na mnie spoczywały! — Żegnaj mi więc! — Zstępuj do grobu i spoczywaj w pokoju! Ja zostaję z rozpaczą w sercu bez nadziei, — szczęścia już więcej na świecie nie zaznam, bo między niem a mną stać będzie zawsze wspomnienie o tobie, ty biedne dziecko. Uśmiech nie zawita nigdy na usta moje, odegna go każdą razą myśl o Anielci. Każde żywsze uczucie w mem sercu stłumi twój obraz wiecznie żywy w mej wyobraźni i wołać będzie:

„Miłość zabija! — Pamiętaj o tej, którą miłość twoja zamordowała.

„Ha, co widzę, za mną stoją furje, boginie zemsty, wyciągają ręce po mnie, — ciepły ich oddech czuję już nad sobą! — Cierpliwości! Tylko jeszcze kilka minut, potem wasz jestem, wasz na całe życie, — przeklęty! Ale kilka minut darujcie mi jeszcze, niech usta moje spoczną na niej, po raz ostatni, — niech w namiętnym pocałunku wyleję mą duszę, — raz jeszcze te usta, które z nadzieją szczęścia w sercu ją całowały, spoczną w tej samej w tem samem miejscu. Ostatni pocałunek, ostatni tu na ziemi, — przyjm go, od twego Kazimierza, — który należał do ciebie całem sercem, a przecież sprzeniewierzył się, bo tak ludzie chcieli, bo mu okrutny ojciec kazał przysiąc, — bo go druga pożądała! — Tak, Anielciu, gdy z góry, gdzie duch twój się unosi, spoglądniesz na dół, teraz gdy tajemnic dla ciebie niema żadnych, wiedzieć będziesz, że przecież tak winny nie jestem, jak wydawałem się na ziemi.

Ciało twoje umarło, ale dusza żyje, — zaklinam cię więc ty duszo zmarłej, daj mi odpowiedź, żeś mi przebaczyła!"

Pochylił głowę, — ręce oparły się o kraj trumny, — twarz zbliżał pomału, aż usta jego spoczęły na ustach zmarłej. Ale w następnej chwili stało się coś strasznego: zerwał się i wrzasnął nieludzkim, dzikim głosem, który echem przebiegł po cmentarzu, głosem obłąkanego:

„Ona żyje! Nieprawda, że umarła! Czułem jej pocałunek! — Ostatni pocałunek odwzajemniła! — Moja Anielcia żyje!"

LXII.

Chcę jej serca!

Satanelli zadrżał, gdy usłyszał krzyk ten. Miałżeby się omylić, — czyżby Naneta, siostra pięknej Celestyny, nie umarła, — spoczywała tylko w letargu? Nie, to niemożebne! W życiu swojem widział już tyle umarłych, że pomylić się nie mógł. Biedna, nieszczęśliwa dziewczyna, która w oczach jego umarła, miała wszystkie symptomy śmierci na sobie, — to niepodobna, by oczy otworzyła.

„Panie Lister, — słyszysz?!" usłyszał znowu głos hrabiego, który jak pijany zataczając się zbliżał się do niego. „Ona żyje, — Anielcia nie umarła, czułem jej pocałunek, nie, nie, nie, ona nie umarła, — żyje. Chodź pan, popatrz się! O, gdyby ją można uratować, oddałbym cały mój majątek za to."

„Uspokój się pan, panie hrabio", odrzekł Lister, „przyjdź pan do siebie, — bierz pan rzeczy tak, jak ja, nie dawaj się porywać złudzeniom. — Nieszczęśliwa, która w nurtach Sekwany śmierć znalazła, nie żyje i nic jej wrócić do życia nie zdoła!"

Kazimierz oparł się o ścianę, podczas gdy detektyw ciągnął dalej:

„Umarła, — o tem nie ma żadnej wątpliwi się już, — i jego obowiązek już czywa, pokój jej duszy!"

W milczeniu stał nieruchomo Kazimierz przez chwil kilka, — nareszcie zwracając oblicze ku niebu, przemówił złamanym głosem:

„Tak, pan ma słuszność, panie Lister. Co mi się zdawało, że czułem, to jest niemożliwe! Śmierć swych ofiar, które raz zabrała, nie oddaje więcej. To był płód mojej chorej wyobraźni. — Ale jeszcze raz muszę spojrzeć na nią, — jeszcze raz jej ręce uścisnąć, — a potem niech się stanie, co się stać musi, — wieko niech się nad nią zawrze, — i grób zamknie jak wszystko, co choć piękne ale doczesne!"

Łzy stłumiły głos, — i nie jak mężczyzna w kwiecie wieku i zdrowia, lecz jak starzec zgrzybiały powlókł się napowrót do trumny.

„Panie hrabio, proszę, niech pan się spieszy", rzekł Lister, „grabarz niecierwi się już, — i jego obowiązek już wola, — wnet dniec pocznie."

„Tak, dniec poczynie i słońce zejdzie", — rzekł, pochylając się nad zwłokami Kazimierz, — tylko nie dla mnie."

„Panie Lister", ciągnął dalej, „jestem ... bardzo zobowiązany, żeś mnie tu



Artysta filmowy — olbrzym z swoją partnerką, w czasie występów na wolnem powietrzu, na wystawie w San Diego.

przyprowadził i dał sposobność pożegnać się z ukochanem dziewczęciem. Ale nie odejdę stąd, póki pamiątki z sobą po niej nie wezmę."

„Weź pan więc kosmyk włosów", odrzekł detektyw, „albo jeżeli się pan tem zadowoli, zrobię szkic z niej, odrysuję. Nie zły ze mnie rysownik, zręczny malarz może potem z rysunku, farbami obraz jej odtworzyć."

„Nie, nie," przerwał Kazimierz, „ja chcę pamiątki, co tysiąc razy droższa od włosów lub jej portretu. — Spojrzyj pan na mnie, — czy rozpacz pomieszała mi zmysły, — mój przyjacielu, panie Lister, ja chcę, — ja pragnę, — nie mam odwagi wypowiedzieć a jednak, — nie, nie, jabym żyć nie mógł, gdybym nawet tego nie mógł mieć, — panie Lister, — ja chcę jej serca na pamiątkę, tego serca, co mnie tak wiernie kochało, a które tak nikczemnie złamał."

„Jej serca?" zawołał, robiąc krok w tył, Lister, „czym dobrze pana zrozumiał, panie hrabio, — pan chcesz jej serce wycinać? — Nie, nie, — pan na serjo nie mówi, — toby było okrucieństwo, — i nie po ludzku!"

„Nie po ludzku!" zawołał Kazimierz, — „okrucieństwem jest, gdy ludzie to, co kochali, zagrzebują i oddają na pastwę robakom, zgniliźnie. Zanim się to stanie, chcę pamiątki, która mi dzień w dzień przypominać będzie, jaką zbrodnię na niej popełniłem, — ów krok mój nieszczesny, który życie ludzkie zruinował."

„Tak, panie Lister, ja chcę serca Anielci, — chcę je codzień mieć przed sobą, — codziennie patrząc na nie, powiadać do siebie:

„To serce w tem naczyniu szklanem, — w które je umieszczę, — kochało cię wiernie, należało do ciebie, a ty, — wzgardziłeś niem, — opuściłeś je! —

W ten sposób będę pokutował, — od postanowienia mego nie odstąpię."

Lister przestraszył się, — bo rzeczywiście Kazimierz robił wrażenie, jakby dostał obłędu, — słowa wylatywały mu z ust jak strzały, — we wzroku malowała się stanowczość, po której detektyw, który był dobrym psychologiem, nie wątpił, że nic jej zachwiać nie zdoła.

„Ależ, — panie hrabio", zwrócił się do niego, chcąc przynajmniej spróbować, odwieść go od tej idei, którą chyba tylko godzina rozpaczy zrodzić mogła, — „wie pan przecie dobrze, że czas nagli, — jakżeż pan sobie to wyobraża? — Kto i kiedy miałby tej operacji wyjęcia serca z piersi dziewczyny, dokonać?"

„A, to nie jest żadna operacja, — dla lekarza robota kilku minut! — Ja nie jestem pierwszy, który podobne żądanie stawia, chce serca kochanki, by je póki życia dla siebie przechować. — I niejedna kobieta, która wiernie kochała i przedmiot swej miłości postradała, zapragnęła posiadania trwałej pamiątki po tym, który stanowił całe szczęście jej życia. Księżniczka Sagan miała także u siebie serce swego nieszczęśliwego Radziwiłła, który z ręki motłochu w Frankfurcie nad Menem życie postradał. Umieściła je na ołtarzu swej domowej kapliczki, — codziennie modliła się przed ołtarzem, zalewając się łzami, — codziennie spoglądała na serce ukochanego, — a gdy sama umierała, kazała je z sobą włożyć do trumny. — Tak! — I mego życia treścią będzie odtąd to serce, — serce mej kochanki! — Ja muszę je mieć, — słyszysz pan, — ja chcę i muszę, — i żadna moc nie powstrzyma mnie od wykonania tej jeszcze nocy mego postanowienia."

Lister widział, że szalonemu opierać się w tej chwili nie można. Kto wie, może opór z jego strony wzbudziłby w Kazimierzu jakie podejrzenie. A i jeszcze jeden wzgląd miał na uwadze. Hrabiemu zdawało się, że w tej leżącej ofierze czuć jeszcze życie. Miałożby to być prawdą i miałaby Naneta rzeczywiście jeszcze żyć, to wyjęcie serca z piersi niezawodnie ją dobije. — Już z tego choćby powodu nie miał zamiaru sprzeciwiać się Kazimierzowi.

„Chcę dać panu dowód, panie hrabio, że dla pana wszystko robię, co tylko możliwe. Pomówię z grabarzem, będę próbował przekupić go, by pogrzebanie zwłok o kilka godzin odroczył. Tymczasem poszukamy lekarza, któryby za dobre pieniądze milczał także jak grób."

„Ciągle pieniadze i pieniadze!" rzekł z niechęcią Kazimierz, „proszę, nie wspominaj mi pan ustawicznie o tej podłej mamonie. Gdybym pół mego majątku miał ofiarować za to serce, nie byłoby za drogo dla mnie opłacone. — Idź pan i zawołaj grabarza, — ale, otóż i on, — przystąp bliżej, mój przyjacielu."

W pokornej postawie zbliżył się stary Pifferon.

„Jestem na rozkazy Jaśnie Wielmożnego pana!" rzekł, składając głęboki ukłon.

„Życzę sobie, by pogrzebanie tych zwłok zostało o kilka godzin odroczone i żeby mi było wolno, trupa kazać odstawić do lekarza, — któryby go raz

jeszcze zbadał, bo chcę mieć bezwzględną pewność śmierci."

„Tego sobie Jaśnie Wielmożny pan życzy?" odparł Pifferon, „ja nie jestem wprawdzie żaden uczony doktor, — ale potrafię dobrze odróżnić zmarłego od nieżywego. Proszę mi wierzyć, że w tej dziewczynie niema ani krzty życia."

„To właśnie chciałbym słyszeć od lekarza a nie od grabarza", przerwał mu Kazimierz rozkazującym tonem, który nie znosił żadnego oporu, wyciągając sakiewkę z kieszeni; „masz, — bierz to wszystko i uważaj się za zapłaconego za tę przysługę, której od ciebie żądam."

Ręce Pifferona drżały, gdy ujął napełnioną portmonetkę Kazimierza, lecz nim dał potwierdzającą odpowiedź, zamienił znaczący wzrok ze Satanellim.

Satanelli skinął głową na znak zgody. „Wielmożny Panie", rzekł stary Pifferon, „jes m do usług pańskich. Rozkazuj pan tylko, a ja razem z moim synem zaniosę trupa do lekarza, którego nam pan pokażesz."

Kazimierz znalazł się jednak w nowym kłopocie. Któremu lekarzowi mógłby zaufać? Rozchodziło się bowiem nie tylko o to, by zasięgnąć rady jednej z powag doktorskich w Paryżu, lecz trzeba było wyszukać takiego lekarza, któryby mieszkał w pobliżu cmentarza, i któryby potrafił zachować milczenie.

Kazimierz postanowił udać się do pierwszego lepszego lekarza i zwracając się do grabarza, rzekł:

„Połóżcie tę trumnę na nosze i chodźcie za mną, ja was poprowadzę. W jednej z najbliższych ulic znajdziemy przecież doktora, któryby zasługiwał na zaufanie.

„Pan Lister zaś będzie łaskaw czekać tutaj na mnie, najdalej za godzinę, spodziewam się, że będę z powrotem."

Dlaczego nie pragnął Kazimierz być w towarzystwie tego człowieka, któremu się dotąd bezwarunkowo zawierzył? Dlaczego chciał być sam na tej smutnej drodze, mając obok siebie tylko tych, których pomoc była dla niego niezbędną? Dlaczego pozostawił detektywa na cmentarzu, podczas gdy sam szedł szukać lekarza?

Kazimierz nie mógł sobie zdać z tego sprawy. W jego duszy powstało nagle życzenie, by być razem z Anielcią; w jego piersi poruszyło się coś jakby wstręt do tego człowieka, który go tutaj przyprowadził i który nie mógł się doczekać tej chwili, kiedy Anielcia zniknie pod ziemią.

Nie było to jeszcze podejrzenie, ani jasna samowiedza, że nie powinien ufać Listerowi. Kazimierzowi zdawało się tylko, że on jeden ma prawo towarzyszyć trumnie w tym smutnym pochodzie i że obecność każdego innego zbezcześciłaby tylko ten ważny krok, który miał zamiar wykonać.

Stary Pifferon przywołał swego syna i z jego pomocą położył wieko na trumnie, nie zamykając jej jednak szczelnie. Podjąwszy ją na nosze, stary grabarz rzekł do Kazimierza:

„Jesteśmy gotowi. Chodźmy."

„Dobrze", odparł hrabia, otulając się swym płaszczem. „Idźcie za mną, — a pan, panie Lister, oczekuj mnie tutaj."



Dzieci umieją sobie poradzić w dni upalne. Woda wprost z wodociągu jest najsmaczniejsza.

Ajent nic nie odpowiedział. Był nawet zadowolony, z tego, że pozostanie na cmentarzu, gdyż ów dziwny zamiar, z którym Kazimierz chciał się zwrócić do lekarza, spowodował, że Lister postanowił trzymać się zdaleka od tej sprawy.

Za chwilę smutny ten pochód, pod przewodnictwem Kazimierza, opuścił ogrodzenie cmentarne.

Jasna noc księżycowa oświecała ulice, Kazimierz więc mógł z łatwością czytać napisy na domach, lecz nigdzie nie widział tabliczki z nazwiskiem lekarza.

„Chodźmy w tę boczną uliczkę", zawołał na obydwóch Pifferonów, „może znajdziemy tego, kogo szukamy."

„Panie", odparł stary grabarz, kładąc na chwilę nosze na ziemię, „sądzę, zdaje mi się, że w tej tu uliczce mieszka jeden doktor. Przypominam bowiem sobie, że przechodząc raz tędy, czytałem jeden szyld, na którym, jeżeli się nie mylę, stało polskie nazwisko."

„Polskie? Tem lepiej", rzekł do siebie Kazimierz, — z moim ziomkiem będę się mógł prędzej porozumieć."

I rzeczywiście, skręciwszy we wąską ulicę, Kazimierz stanął nagle, wydawszy lekki okrzyk zdziwienia.

Na małym jednopiętrowym domku zobaczył bowiem szyld, na którego białem tle wypisane było czarnemi literami nazwisko doktora Henryka Halera.

„Jesteśmy na miejscu", zawołał Kazimierz, zwracając się do grabarzy, „połóżcie nosze na ziemię i czekajcie, dopóki was nie zawołam. Tymczasem dajcie pozór na trupa."

Kazimierz drżącą ręką pociągnął za dzwonek. Głos jego rozległ się w całym domu i po kilku minutach dały się słyszeć kroki, zbliżające się do bramy.

Skoro drzwi się otworzyły, na progu ukazała się postać sędziwej, siwej matrony, odzianej w skromny szlafrok, z lampą w ręce.

Ze zdziwionym wzrokiem mierzyła ona postać Kazimierza, który ją uprzejmie pozdrowił.

„Prawdopodobnie chcesz pan się widzieć z moim synem", odparła kobieta, „proszę dalej; syn wprawdzie dopiero przed godziną powrócił do domu, był bowiem z wizytą u jednego ciężko chorego. Zbudzę go jednak, gdyż życzeniem mego syna jest, by nikt nie opuścił tego progu, nie otrzymawszy poprzednio od niego pomocy."

Jak zachęcająco brzmiały te słowa! Serce poczęło bić raźniej Kazimierzowi, czuł bowiem, że trafił na dobrych ludzi.

Wszedł więc do skromnej lecz czystej sieni. Staruszka, otworzywszy boczne drzwi, wpuściła go do pokoju, którego urządzenie przypominało polskiemu hrabiemu drogą ojczyznę.

Wszystko tchnęło tu polskością. Polska schludność i wygoda, polskie obrazy, wiszące na ścianach, i książki wyglądające z za szyb szafy, polskie robótki, wypełniały cały pokój.

„Proszę, usiądź pan na chwilkę", rzekła sędziwa matrona, „ja zbudzę zaś syna, który się natychmiast zjawi na pańskie usługi. Czy pan szuka pomocy?"

„O nie, droga pani", odparł Kazimierz, „przyszedłem celem zawezwania syna pani do ważnej bardzo operacji. Polecono mi gorąco jego zręczność i nie wątpię, że trafiłem na stosownego lekarza."

„Chwalono panu zręczność mego syna?" I szczęśliwy uśmiech zawisł na ustach staruszki. „Prawda, że jest znakomitym doktorem, lecz zdaje mi się, że nie potrafi tutaj znaleźć właściwego dla siebie pola działania. Przecież on pozostanie zawsze obcym na tej francuskiej ziemi. — Lecz idę, proszę więc wybaczyć."

Siwowłosa kobieta oddaliła się szybko, pozostawiwszy lampę na stole. Kazimierz z bijącem sercem kroczył po pokoju, założywszy ręce na plecy. Musiał sam sobie przyznać, że żądanie jego miało w sobie coś niezwyczajnego.

Czy zgodzi się lekarz na jego propozycję, lub czy też będzie miał jakąś wątpliwość, by spełnić jego życzenie?

O nie! — Dlaczego nie miałby lekarz wyjąć serca umarłej? Przecież w tem niema żadnej zbrodni. Przeciwnie rozchodzi się tylko o akt zwykłego pietyzmu.

Doktor Haler spełni z wszelką pewnością jego życzenie.

Drzwi otwarły się i na ich progu stanął mężczyzna w wieku koło lat trzydziestu, którego już zewnętrzna postać zdradzała Polaka. Pełna jasno-blond broda spadała mu na piersi, — wyraziste oczy spoglądały z twarzy, włosy zaś były zaczesane w górę bez sztuki i bez pretensji.

Zamknąwszy drzwi za sobą i skierowawszy swe kroki ku hrabiemu przemówił:

„Jestem doktor Henryk Haler i stoję na pańskie usługi. Czy mam iść z panem do chorego? Moja matka mówiła mi, że się rozchodzi o operację."

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

H-U-M-O-R

Raz w życiu

Inspektor ogląda fabrykę. W pewnej chwili zwraca się do jednego z majstrów:

— A czy często tu u was umierają robotnicy?...

— E, nie... — odpowiada majster — Tylko raz w życiu, panie inspektorze...

Humor sowiecki

W czasie pogrzebu jednego z dygnitarzy sowieckich, na ulicy wśród publiczności stoi żydek.

— Ciekawy jestem, wiele może kosztować taki wspaniały pogrzeb?

— Drogo! Sądzę, że jakieś sto tysięcy rubli.

— Gdzież jest „program oszczędności“?! — krzyczy oburzony żydek. — Za pięćdziesiąt tysięcy ja pochowam cały centralny komitet wykonawczy. Nawet z wielką przyjemnością!

Bohater

— Dzisiejszej nocy przebudził mnie jakiś przejmujący alarm, budzę się i widzę wystające spod mego łóżka dwie nogi..

— Włamywacza?

— Nie, mojego męża, który też usłyszał alarmujące krzyki.

Przyszłość

— Zastanawiam się nad tem, w jakim kierunku kształcić syna?

— Ja sądzę, że tylko na lotnika. Będzie miał piękne widoki, szybko będzie podnosił się do góry i stale będzie rwał naprzód.

Najpiękniejsze wspomnienie

W barze u Gerthnera spotyka się dwóch handlowców, Kuba Szprot i Aron Pętelkier. Kuba jednak wyraźnie unika Arona, patrzy w drugą stronę, lub kryje twarz za gazetą. Niestety wybiegi na nic się nie zdały, Aron dostrzegł Kubę i pędzi do stolika.

— Ny, panie Szprot, jak ja widzę, to pan już zupełnie zapomniałeś o tem, że ja przed miesiącem pożyczyłem panu trzysta złotych.

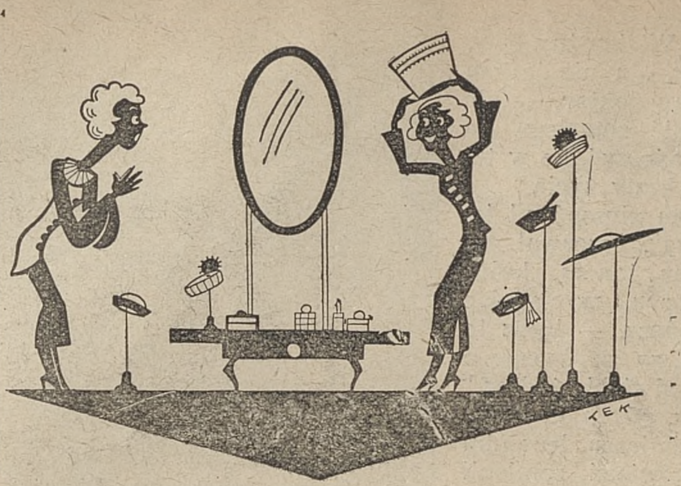
— Co pan śmiesz zarzucać?! — zrywa się oburzony Kuba i dodaje z błogim uśmiechem.

— Jak ja mogłem o tego zapomnieć? Przecież to jest najpiękniejsze wspomnienie z mojego życia.

Biuro informacji

Do kolejowego biura informacji przychodzi młodzieniec i uprzejmie zwraca się do urzędnika.

— Pan będzie łaskaw poinformować mnie, dokąd jedzie ta śliczna blondyneczka, o ta, co spaceruje po peronie, w zielonym płaszczu...



— Proszę Pani, co kosztuje te pudełko od kapeluszy, gdyż wyglądam w niem najlepiej.

Wytłumaczył

Panu Ancymońskiemu sprzykrzył się ostatecznie stan wdowieństwa, postanowił zatem raz jeszcze ożenić się.

Przyszła jego połowa ma jednak szereg zastrzeżeń.

— A czy twoje dzieci nie będą się sprzeciwiały drugiemu małżeństwu?

— Nie sprzeciwiały się pierwszemu małżeństwu, dlaczego więc miałyby się sprzeciwiać drugiemu? — odpowiada pan Ancymoński.

Radosna przegrana

— Założyłem się z moją teściową, że ja pierwszy umrę.

— No i co?

— No i przegrałem!...

Nareszcie

— Nareszcie mój szef zainteresował się mną.

— Poczem to wnioskujesz.

— Wczoraj zapytał mnie, w jakim celu przyszłam do biura.

Styl handlowy

Dyrektor firmy „Ratoplajt“ wzywa maszynistkę.

— „Panno Ireno, podyktuję pani list do tego łobuza, pętaka, złodzieja, Ajerwajsa. Proszę, niech pani pisze:

„Kochany i szlachetny panie“...

W szkole

— Gapski, daj mi przykład obłudy.

— Naprzykład panie psorze, uczniowie z prawdziwą radością chodzą do szkoły.

U lekarza

— Pani musi brać żelazo — ordynuje lekarz.

— Ach, panie doktorze, woła zmartwiona pacjentka — ja mam takie słabe zęby, z trudem chleb gryzę.

Zarozumiała

— Dlaczego twój narzeczony nosi zielone szkła w okularach?

— Żeby go nie oślepiła moja piękność.

Podobieństwo

— Widziałem dzieci Dziurkiewicza, chłopak jest najwierniejszą fotografją swego ojca.

— A dziewczynka najwierniejszym filmem dźwiękowym swojej matki.

Nie chwal się

— Ja mam wprawdzie 62 lata, ale jeszcze mam wszystkie zęby.

— W pudełku?...

Miły gość

— Oto jestem, czy pan zawiadomił dyrektora, że przyjdę o drugiej?

— Tak. Pan dyrektor wyszedł właśnie dziesięć minut przed drugą.

Sznurek zawinił

— A ty za co dostałeś się do więzienia?

— Całkiem niewinnie. Ot, szedłem sobie przez miasteczko, a w ręku miałem sznurek.

— I za to cię wsadzili do mamra?

— Widzisz, na końcu tego sznurka była uwiązana świnia.

Dziecinne pytanie

Matka: — Syneczku, nie pokazuj na ulicy palcem. To nieładnie.

— No, to dlaczego ten palec nazywa się wskazujący?

OGŁOSZENIA DROBNE

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8

Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.